Nr. 39 (1083). Warszawa, dnia 15 (28) Września 1901 r. Rok XXI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 11 do 12 rano.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu 6 miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Szan. Abonentów kwartalnych prosimy o wniesienie przedpłaty.

POLITYKA.

Pokój z Chinami.

Dnia 17 września odbyła się na wielkim placu przed miastem „świętem" w Pekinie ceremonia powrócenia zajętego przedmiotu—pałacu cesarskiego — prawemu właścicielowi. Jeden bok czworobocznego obszaru wytworzyli mandaryni ubrani odświętnie, barwnie i powabnie dla oka; drugi wojska japońskie i amerykańskie, trzeci nawprost najwyższych urzędników, widzowie wybrani, a wśród nich przedstawiciele mocarstw; czwarty wreszcie, znowu naprzeciwko wojsk biało-żółtych, wojsko już czystożółte, któremu miano oddać zastaw niedobrowolny pod straż. Dowódca Aryów zaoceanowych i dowódca Japończyków mieli przemówienia, na które książę kierujący ceremonią odpowiedział podziękowaniem za zajęcie pałacu cesarskiego i zwrot w całości. Wiadomo, że nie zupełnie w całości, bo coś i ze ścian i z przedmiotów, zdobiących przybytki wcielonego syna słońca, ubyło; ale grzeczność sprzymierzyła się z ironią. Skończyła się ta parada odciągnięciem Amerykanów i Japończyków z muzyką przez te same bramy, które w sierpniu roku przeszłego wstrząsał huk dział i min podsadzanych pod sędziwe a potężne mury.

Wyjście z Pekinu nie znaczy wszakże wyjścia z Chin. Jednym z warunków pokoju jest właśnie zajęcie stałej linii, bardzo szerokiej, pomiędzy Pekinem a morzem przez Europejczyków. Nie zaschł jeszcze atrament na protokule ostatecznym, podpisanym d. 6 września, a już pokój obrazy doznaje. Miało być tych Europejczyków na linii zajęcia tylko 12,000, było ich w dniu ceremonii pekińskiej 15 tysięcy. Jeżeli nadmiaru nie zgarnie odrazu surowy strychulec, ustali się już z niego norma, którą samo używanie przy podpisywaniu uroczystego już traktatu pozwoli zamienić w prawo. To prawo w obecnej swojej postaci, jaką mu nadały podpisane już protokuły, przedstawia się, według *Timesa*, w sposób następujący:

W pierwszych czterech artykułach zajmuje się dyplomacya zabezpieczeniem poselstw, wytworzeniem obwarowanego terytoryum, na któremby wszelka moc, władza i prawo wyłącznie do mocarstw obcych należały, oraz ukaraniem i mandarynów i prowincyj bokserskich bądź śmiercią, degradacyą lub dymisyą, bądź pozbawieniem egzaminów na czas paroletni. Rozporządzenia zatem czterech pierwszych artykułów stoją niejako po za całością umów, mających stale obowiązywać we wzajemnych a trwałych na przyszłość stosunkach obu stron i mają przeważnie chwilowy i miejscowy charakter.

W artykule V mieści się edykt cesarza chińskiego, zabraniający tymczasem na dwa lata, a później może i na dłużej, sprowadzania broni i wszelkich zasobów, narzędzi i wogóle materyałów wojennych, który to zakaz dotyka nietylko poddanych Niebieskiego Państwa, ale samo to państwo: Europa chce utrudnić nie samo tylko ponowienie się rozruchów, któreby źródło swoje miały w ludzie, ale i obronę, jakąby dalszej jej, na ogólny czy też na szczególne rachunki prowadzonej, polityce zbrojnej stawić chciał rząd chiński. Artykuł VI zajmuje się kontrybucyą i znowu wcieła w siebie edykt cesarski z d. 16-go czerwca, zgadzający się na zapłacenie 450 mil. taelów. Termin spłaty 39 letni, procent 4%, do każdej raty półrocznej doliczać się mający. Na spłatę tej olbrzymiej kontrybucyi 2 miliardy 600 mil. fr., a z procentem o jaki miliard więcej, Chiny podnoszą cła o 5%, okładają takiem cłem przedmioty dotychczas wolne, z wyjątkiem srebra, złota, zboża i ryżu, oddają Europie dochody portowe wewnętrzne, oraz całą akcyzę od soli. Wszystkie te opłaty dane pod rękojmię, muszą być wprowadzone już w listopadzie r. b. Art. VII ustala obszar terytoryum europejskiego w Pekinie, którym zajmowały się dwa pierwsze, rozpoczynająco protokół. Każde poselstwo ma prawo trzymać zbrojnych na swą obronę, a całe terytoryum może być wspólnie obwarowanem.

Art. VIII i IX, powołując się na edykt cesarski z d. 3 stycznia stwierdzają prawo Europy do zburzenia fortów w Taku i dalej na drodze do Pekinu położonych, nie rozstrzygając wątpliwości, czy na obu tych terytoryach wolno będzie Europie trzymać i wznosić własne forty. Tak droga, jak Taku, mogą być obsadzone przez wojska europejskie. Art. X mówi o edyktach cesarza chińskiego już wydanych i w całem państwie ogłoszonych: jednym, który pod karą śmierci zabrania uczestnictwa we wszelkich stowarzyszeniach i związkach skierowanych przeciwko cudzoziemcom, drugim, nakazującym uwalniać natychmiast urzędników nie ścigającym należycie wszelkich podobnych zespoleń i dążeń, i trzecim, który wstrzymuje egzamina, czyli pozbawia administracyę chińską środków należytego odnawiania się. W Art. XI Chiny objawiają gotowość do zawarcia nowych traktatów handlowych; w XII i ostatnim mowa jest

o edykcie z d. 11 lipca, zamieniającym Tsung-li-Jamen na europejskie ministeryum spraw zagranicznych, które stało się już rzeczywistością.

W całym tym akcie pokoju, niemającym jeszcze cechy uroczyście-ostatecznej, uderza spełnienie już wszystkiego, co w nim jako obowiązek Chin występuje, z wyjątkiem jednej tylko kontrybucyi. Właściwie instrument uroczysty jest już niepotrzebnym, a sam akt pokoju przedstawia się jako akt egzekucyjny. Nadzwyczaj ważną pod względem narodowym będzie okoliczność, czy Chiny zdobędą się na taką ofiarność, któraby pozwoliła kontrybucyę spłacić przed terminem, a może nawet odrazu. Porozpisywano już do bogaczów odpowiednie odezwy. Wzięcie w swe ręce obligacyj pożyczki kontrybucyjnej byłoby czynem dzielnym, dobrze wróżącym o przyszłości. Najazd europejski stałby się dobrodziejstwem, gdyby obudził energię, prawość publiczną, patryotyzm i wypadkową ich — siłę.

SPEŁNIONA WRÓŻBA.

Kiedy wybuchł zatarg między Polakami a klerykalnem stronnictwem centrum w Niemczech i kiedy prasa warszawska, dostarczając posiłków poznanskiej, rozpoczęła wraz z nią ostrzeliwanie twierdzy krzyżackiej, postanowiliśmy wobec tej walki zająć stanowisko obserwacyjne. Wolno zaś nam było milczeć dlatego, że przez lat kilkanaście często ocenialiśmy wartość i trwałość tego dziwacznego, niemiecko-polskiego stadła, pobłogosławionego przez papieża, ale niemogącego się doczekać żadnego potomstwa, które rodziło się ciągle poronionem. Nareszcie „niespodziewana“ kłótnia zakończyła się separacyą, obie strony pozbawiły się wzajemnie miłości, a nawet szacunku, ich zaś dwustronni przyjaciele oświadczyli, że o związku na przyszłość, po tylu dowodach nienawiści i wiarołomstwa, nie może być mowy.

Teraz przyszła na nas kolej powiedzieć kilka słów o tej sprawie. Ile razy *Prawda* faktami i rozumowaniem wykazywała szkodliwość przymierza Polaków pruskich z klerykałami niemieckimi, zawsze spotykała ją w prasie mniej lub więcej ostra nagana. Zarzucano nam liberalne doktrynerstwo, brak zmysłu politycznego, fanatyzm radykalizmu, niepozwalający dostrzedz oczywistych i cennych korzyści owego przymierza itp. Jeden z dzienników wykrzyknął nawet w zapale: bez centrum Polacy pruscy byliby bryłą lodu w rozpalonym piecu. I oto dziś po 30 latach wiernej przyjaźni przekonano się, że centrum nie nosi Polaków w swem sercu, lecz w swej kieszeni, że wraz z innemi stronnictwami dąży do zgermanizowania ich, że zdradza głęboką nienawiść do ich narodowości, że uważa ich za „ein verkommenes Volk.“ Skoro ten fakt już jest stwierdzony, to niechże nam wolno będzie przypomnieć naszą przestrogę, wypowiedzianą przed — 19 laty. W nr. 41 *Prawdy* z r. 1882 pisaliśmy:

„Katolicy niemieccy, a zwłaszcza ich wielką przebiegłością podkuci przywódcy mniej ciągnęli ku sobie skórę poznańską, niż inne stronnictwa, ale dlatego, że musieli strzedz własnej. Lis w niedoli radby mieć przyjaciół nawet śród drobiu Dopóki centrum musiało jak wąż przewijać się między paragrafami ustaw majowych, chętnie pomnażało swą siłę każdym kręgiem, który się do ich ciała przyczepiał. Ale nie potrzeba było zbyt daleko sięgać proroczym wzrokiem, aby dostrzedz, że gdy ono doczeka lata, natychmiast się wyłuska ze swego polonizmu Wspólność wiary bowiem jest słabą spójnią tam, gdzie tyle różnic politycznych i narodowych przecina związek. Przyłączeni do szeregów, którym hetmani Windhorst, mogą z nimi Poznańczycy atakować Bismarcka lub odnosić nad nim zwycięstwa; ale naprzód nie będzie to tryumf ich narodowego sztandaru, a potwóre, co poczną, gdy sprzymierzona armia, zawarłszy traktat z nieprzyjacielem, odetnie już zbyteczny i do zgody przeszkadzający posiłek? Koło polskie zostanie nietylko opuszczone, ale zaawanturowane w klerykalizmie, którego niszczący wpływ na życie społeczne łatwo zatamować się nie da. Kilkakrotnie gaszona, ale ciągle rozpalana idea połączenia ultramontanów z konserwatystami i utworzenia w Izbie większości — naturalnie większości nieprzyjaznej Polakom — powstaje jak groźne widmo (dziś to widmo stało się ciałem).“

Tak ostrzegaliśmy przed dziewietnastu laty, a przepowiednia nasza spełniła się literalnie. Jako owoc długiego wysługiwania się nowoczesnym Krzyżakom mają Polacy pruscy: zaciętych wrogów w dawnych przyjaciołach, polipa klerykalnego w swem społeczeństwie, no i — jak zwykle — mądrość po szkodzie.

125 lat dziejów amerykańskich.

William Mac Kinley, ten niezaprzeczenie „człowiek reprezentacyjny,“ uosabiający w sobie dążenia i interesy całego narodu, a przynajmniej całej klasy, narodowi ton nadającej, zginął też w czasie niezwykłym: W roku bieżącym, 4 lipca, upłynęło wszakże lat 125 od chwili ogłoszenia niepodległości dotychczasowych kolonij angielskich w Ameryce Północnej, od chwili powstania nowego państwa — Stanów Zjednoczonych. 125 lat ciągłego wzrostu potęgi wewnętrznej, połączonego z niezmiennem uwielbieniem ze strony najpostępowszych, najdemokratyczniejszych żywiołów starej Europy, kończące się nagłem wdarciem się nowej potęgi w stosunki zewnętrzne, międzynarodowe — i rozczarowaniem, rozgoryczeniem, wywołanem w tych idealistycznych żywiołach przez postępowanie tej wielkiej rzeczypospolitej, za przykład podawanej, niczem się nie różniące od tradycyjnego, odwiecznego kierowania się racyami stanu. Przewrót ten był dla wielu idealistów niespodzianką; ale został on przygotowany przez całą stopniową ewolucyę wielkiego kapitalizmu w Stanach Zjednoczonych, która 125 lat sobą wypełnia. Ona to kierowała politycznemi walkami i zdarzeniami, ona odbijała się w programach partyj i to daleko dokładniej nawet i bardziej bezpośrednio, niż to się dzieje w krajach europejskich. Nic dziwnego — nad świadomo-

---

Bret Harte.

Brat z Kalifornii.

Nad doliną zapadła noc czarna i burzliwa. Smagana wichrem, zalewana deszczem szychta Sawyera, tonęła w ciemnościach i tylko wzdłuż góry mglisto połyskiwały blado światełka, zapalone w chatach przez górników, powracających z roboty. Owe światełka nie wszędzie tego wieczoru jednakim płonęły blaskiem; dwa wyróżniały się szczególnie: jedno gorzało ogniem wielorakich świec, zapalonych na cześć jakiejś widocznie uroczystości, drugie pochodziło od jednej tylko świeczki, postawionej w oknie cichej chatki. Oba były wyrazem dwu krańcowych sprzeczności losu w tej osadzie: jedne paliły się na uczczenie szczęśliwego kopacza Roberta Fallonera, druga rozświetlała ciemności, w których leżał chory nieszczęśliwy Dick Lasham.

Nie był on tu jednak sam. Czuwał nad nim sąsiad, Daddy Folsom, człowiek czułego i wrażliwego serca.

Siedział on obok tapczana, na którym leżał chory, lecz bezustannie spoglądał w okno w kierunku mieszkania Fallonera, błyskającego pośród drzew światłem wewnętrznej iluminacyi i uchem chciwiej łowił dolatujące stamtąd odgłosy pieśni i śmiechu, niż przysłuchiwał się jękom i gorączkowemu majaczeniu chorego.

Chwilami głośniejsze stęknięcie Dicka odrywało jego uwagę od zabawy, w której nie mógł wziąć udziału i wywoływało przesadzone objawy współczucia.

— Oj, tak! ma się rozumieć! Wiem ja dobrze, jak to boli: to zupełnie, jak gdybyś rwał ząb, którego korzenie po całem rozchodzą się ciele. Kiedym ja to miał, to w żaden sposób nie mogłem się powstrzymać, żeby nie wrzeszczeć. Tak, to reumatyzm, ja go znam dobrze. A ma to szczególnego do siebie, że najgorzej dokucza, kiedy już przechodzi; szczypie wówczas w plecy i rwie w rękę, jak gdyby chciał powiedzieć: bywaj zdrów! Ot, tak właśnie! — dodał, kiedy chory wyczerpany bólem padł na wznak na worek mąki, służący mu za poduszkę. — Czyż nie mówiłem? Za minutę będzie już dobrze, będziesz zdrów jak chrzan. Gadajcie mnie, ja się znam na reumatyzmie; tylko mój był z gatunku tych zimnych, co to dłużej trwają, a twój gorączkowy, spali się prędko jak świeczka.

Jeśli pomimo rozpalonej twarzy i gorejących oczu ktokolwiek mógł jeszcze wątpić o silnej gorączce chorego, to ostry, nieprzytomny śmiech jego musiał wywieść go z błędu. Tymczasem zawsze pełen nadziei Daddy Folsom wziął to za dowód poprawy i prawił dalej:

— Tak, tak, lepiej ci teraz, mój panie, i nawet — dodał z miną głębokiego zastanowienia, powoli i uroczyście, jak wszystko, co robił — nawet gdybyś wstał, owinął się w kołdrę i, opierając się na mnie, powlókł na drugą stronę do Boba Fallonera, to kto wie, czyby ci to nie zrobiło dobrze. Tego rodzaju zmiany często przepisują lekarze. No, dobrze już, dobrze — dodał pospiesznie, gdy chory jęknął, jak gdyby protestując przeciwko tej radzie — sam wiesz najlepiej, czego ci trzeba. Ja tylko na chwilę wpadnę do Boba, żeby powiedzieć, że nie przyjdziesz; wrócę za minutę.

— List! — niewyraźnie zamamrotał chory — list! list!

Daddy pochylił się nad nim. Nawet on zaczynał już przypuszczać, że Lasham jest nieprzytomny. Lecz właśnie dlatego czuł konieczność zaniesienia tej wiadomości zebranym u Fallonera towarzyszom. Tymczasem aby chorego nie drażnić, musiał odpowiadać w myśl jego.

— A tak, list, list — mówił uspokajająco — właśnie tylko co o tem śpiewali:

> Żegnaj, Karolko, bywaj zdrów,
> A jak wyjedziesz, napisz list..

— Ładna śpiewka, co, nieprawda? Tak ci do samej duszy sięga. Rzecz nadzwyczajna, jak się to łatwo pamięta!

— List! — bredził dalej chory — napisz — przyślij pieniędzy — pieniędzy — pieniędzy i fotografię — fotografię — fotografię i pie-

ścią amerykańską ciąży daleko mniej przeżywających się w nałogi zamienionych tradycyj, które w krajach o długiej i bogatej przeszłości hamują i paczą działanie nowych bodźców ekonomicznych. Zarówno więc dla wykazania na przykładzie współodpowiedzialności między rozwojem politycznym a ekonomicznym, jak dla zrozumienia zmiany zaszłej w roli i charakterze państwa, które ręką Mac Kinleya nagrodziło Funstona, sprawcę zdradzieckiego porwania Aguinalda, warto — przy pomocy niemieckiego znawcy stosunków tamtejszych, J. L. Franza — rzucić okiem na ten pierwszy okres życia Stanów Zjednoczonych.

Samo powstanie kolonii przeciw metropolii miało, jak wiadomo, motywy ekonomiczne: chodziło o wygórowane cła, nałożone przez rząd angielski w celu wzmocnienia skarbu, nadszarpanego przez liczne wojny drugiej połowy XVIII w., na towary, przywożone do kolonij amerykańskich. Celem powstania była zatem obrona ludności amerykańskiej, jako spożywców jeszcze, nie jako wytwórców; ludność ta była jeszcze wówczas przeważnie rolniczą. Jednakże już wkrótce po uzyskaniu niepodległości przemysł, wolny od krępujących powijaków starego systemu kolonizacyjnego Anglii, zaczyna się rozwijać w północnych stanach nadatlantyckich i wchodzić w zatargi z innym czynnikiem ekonomicznym — produkcyą bawełny, rosnącej w stanach południowych. Sprzeczność interesów między przemysłem północnym a plantatorstwem południowem wypełnia całą pierwszą połowę stulecia, aż do wojny domowej z lat 1860—64; wyraża się ona na różnych polach. Bodźca dodaje wynalazek techniczny: dopiero bowiem zastosowanie w r. 1793 t. zw. *Cotton Gin*, czyli maszyny do czyszczenia włókien, wynalezionej przez Ely Whitneya, umożliwia ciągnięcie z produkcyi bawełny na wielką skalę odpowiednich dochodów, a przez to staje się powodem powszechnego i masowego użycia niewolników do pracy na plantacyach. Maszyna ta zjawiła się w stanie Georgia w r. 1793; zanim się jednak jej użycie rozpowszechniło, upłynęło dość dużo czasu. Przed wprowadzeniem jej zaś niewolnictwo nie było obliczone na zyski przemysłowe, pieniężne, ale raczej miało charakter patryarchalny; to też gdy w r. 1808 dodatkiem do konstytucyi zakazano przywożenia nowych niewolników z Afryki, nie było jeszcze przeciw temu zakazowi silnej opozycyi.

Lecz antagonizm między produkcyą bawełny a dążeniami przemysłowemi stanów północnych wzrastał ciągle dla powodów następujących: Plantatorzy posyłali swój towar do Europy na statkach, które, płynąc napowrót, zabierały do Ameryki fabrykaty europejskie, głównie angielskie. Dla plantatorów i dla marynarki handlowej był więc ten fracht powrotny warunkiem wielkiego powodzenia; pierwszych szczególnie kosztował w ten sposób bardzo tanio transport bawełny do miejsc zbytu. Lecz tani transport fabrykatów europejskich do Ameryki uniemożliwiał znowu należyty rozwój miejscowego przemysłu fabrycznego. Stąd bardzo już wcześnie objawione dążenie tego ostatniego dla obciążenia cłem przywożonych towarów—co znowu podkopałoby fracht powrotny i podwoiło koszt transportu bawełny. Plantatorzy byli siłą polityczną daleko większą od niebogatych i niepewnych jeszcze przemysłowców; od r. 1800 aż do 1860 oni prawie nieprzerwanie, a raczej reprezentujące ich stronnictwo, zwane „demokratyczno-republikańskiem,“ dzierżyło władzę z programem wolnego handlu i jak najszerszej autonomii stanów poszczególnych. Ten ostatni punkt pochodził z następującego źródła. Dla fabrykantów praca niewolnicza nie była przydatną, jako zbyt mało intensywna, giętka i staranna; poszukiwali oni najemników wolnych, których rekrutowanie do pewnego stopnia utrudniało im istnienie wielkich obszarów niezajętych ziemi na wschodzie, nadających się do kolonizacyi. Nie mając więc sami bezpośrednio interesu w utrzymaniu niewolnictwa, a walcząc coraz namiętniej z plantatorami, poparli początki ruchu przeciwniewolniczego, powstające około r. 1830 w nielicznych grupach ludzi, ożywionych idealnemi, filantropijnemi pobudkami i zaczęli żądać nie zupełnego zniesienia wprawdzie, ale ograniczenia niewolnictwa, co wymagało wdania się władz centralnych w wewnętrzne sprawy stanów. Stronnictwo przemysłowe, zwane *federals*, „związkowi,“ było więc w swym stanie za wysokiemi cłami wwozowemi na granicach całej rzeczypospolitej, przeciw niewolnictwu i — co za tem szło — za zacieśnieniem węzłów związkowych, za większą centralizacyą. Plantatorzy zaś, „demokratyczni republikanie,“ namiętnie walczyli o podstawę swego bytu ekonomicznego — niewolnictwem, a w każdym razie — o nietykalność jego w stanach, któreby tej nietykalności chciały, więc o autonomię stanów.

Antagonizm doprowadził do wojny domowej, w tej zaś idealistyczny czynnik wysunął się o tyle naprzód, że wszystkie inne interesy Północy ukryły się pod namiętnym abolicyonizmem. Proklamacya Lincolna, znosząca niewolnictwo od 1 stycznia 1863 r., złamała ekonomicznie Południe. Otworzyła się więc dla przemysłu możliwość nieograniczonego rozwoju. Nagromadzeniu kapitałów w rękach kapitalistów Północy sprzyjały niesłychanie dostawy dla wojsk, zdobycz wojenna; rząd republikański zaczął też za pomocą koncesyj popierać żarliwie rozwój przemysłu; szczególnie koleje żelazne i kopalnie dawały bajeczne dochody. Nadmiar kapitałów powędrował na południe, gdzie po wywłaszczeniu większej części plantatorów, drobniejszych mianowicie tych, którzy brakowi rąk niewolniczych zaradzić nie mogli, zaczęły powstawać fabryki przędzalnicze i tkackie w sąsiedztwie samych plantacyj bawełny. Od tego czasu rozwój przemysłu właściwego idzie olbrzymimi krokami; po paru dziesiątkach lat już mu nie wystarcza rynek wewnętrzny, broniony nawet wysokiemi cłami od współzawodnictwa europejskiego; sięga po protektorat polityczny— gwarancyę ekonomiczną — nad całym kontynentem amerykańskim, a dla zapewnienia sobie wolnej i bezpiecznej drogi do rynków zbytu wschodnio-azyatyckich, chińskich — po Filipiny, które i same zresztą, ze swymi 8 milionami ludności, pewien zarezerwowany rynek stanowić będą.

Dalsze wewnętrzne walki polityczne toczą się znów na tle antagonizmu interesów między przemysłem wielkokapitalistycznym a rolnictwem. Na dziewiczych ziemiach zachodnich wschodzą takie plony, że Ameryka staje się źródłem wywozu zboża na wielką skalę do Europy, przyczem wywiera swe szczególne działanie czynnik nieznany Europie: obfitość niezajętego gruntu umożliwia elastyczność pro-

---

między — powtarzał szybko a nieprzytomnie.

— Oczywiście, ale jutro, jak poczta będzie odchodzić — uspakajał go Daddy — poślesz jak najwięcej. A teraz sprobuj zasnąć, dobrze? Poczekaj! — napij się jeszcze tego!

Na półce stała flaszeczka z jakąś kojącą miksturą, którą doktór przepisał był zrana. Daddy miał to szczęśliwe przekonanie, że co łagodzi ból, musi też uspokoić malignę, więc odmierzył szczodrą dozę i wlał choremu lekarstwo w usta. Lasham połknął dawkę i rzeczywiście zdawał się uspakajać, bo choć mamrotać nie przestawał, tego co mówił, rozumieć już nie było można; Daddy jednak nie odszedł zaraz, czekał aż się zupełnie uspokoi i bezwiednie wodził oczami dokoła. Nagle wzrok jego padł na leżącą na ziemi zmiętą kopertę listową, której przedtem nie zauważył. Wiedział, że na godzinę przed jego tu przyjściem, przybyła poczta i widocznie Lasham otrzymał jakieś wiadomości. A oto i list leżał nieopodal pod ścianą — był otwarty. Daddy sądził, że ma prawo go przeczytać.

List był krótki; brzmiał sucho i zawierał urzędowe oświadczenie, że jeśli Lasham nie przyśle natychmiast opłaty należnej za mieszkanie i utrzymanie swego brata i siostry, znajdujących się pod opieką podpisanego, to będzie musiał umieścić dzieci gdzieindziej; że opłata od dawna zalegała, a wciąż powtarzające się obietnice uregulowania rachunku dotąd spełnione nie zostały; że cierpliwość piszącego wyczerpała się już do dna; ostrzega po raz ostatni, chyba że należność swoją otrzyma.

Odkrycie nie było dla Daddy'ego nowem, ani też w tych warunkach zdumiewającem. Widział on już niemało takich listów od córek, a nawet żon, przebywających tu ojców lub mężów; znał dobrze zmienność i niepewność losu górnika, który jednak nigdy nie tracił nadziei, rzucił więc list niecierpliwie, lecz jednocześnie dostrzegł na kołdrze kawałek papieru, którego tam przedtem nie widział. Na papierze niewprawną ręką napisany był adres: „memu bratu.“ Daddy podniósł kartkę do oczu i czytał co następuje:

„Drogi bracie, napisz zaraz do mnie i do Cesi. Dlaczego nie napisałeś? Już tak dawno nie mieliśmy listu od ciebie. Pan Ricketts mówi, że nie dbasz o nas. Jak napiszesz, przyślij nam swoją fotografię. Oni tu mówią, że ja nie mam dorosłego brata, bo nie pamiętam, jak wygląda. Cesia zawsze dlatego płacze. Mnie głowa boli, bo William Walker uderzył mię. Już dziś nie więcej nie mam ci donieść, kochający twój brat Jim.“

Daddy, czytając list, śmiał się nerwowo, a jednocześnie miał łzy w oczach: z natury bowiem był wrażliwym i łatwo poddającym się wrażeniom. Drżącą ręką postawił świecę na oknie i spojrzał na chorego, lecz we wzroku jego nie było już tej sympatyi i współczucia, co przedtem. W myśli miał obraz dwojga opuszczonych dzieci i pilno mu było podzielić się z innymi tem wrażeniem. Schował więc list do kieszeni, włożył kapelusz, raz jeszcze spojrzał na chorego i wysunął się z chaty, spiesząc do bawiących się towarzyszów. Myśl miał tak dziećmi zajętą, że na zapytania, jak się ma Lasham, odpowiadał z właściwem sobie roztargnieniem: „dobrze,“ a natomiast pospiesznie zaczął im przedstawiać sprawę listu, zachowując na koniec dla wywołania wrażenia wzmiankę o dopisku chłopca. Wiadomość o liście, zawierającym żądanie pieniędzy, słuchacze przyjęli z oburzeniem.

— Oni tam wszyscy tacy—mówił kapitan Fletcher. — Dalibóg, im się zdaje, że tu dosyć zrobić dziurę w ziemi, ażeby setkami dolarów wypychać sobie kieszenie. Naprzykład choćby moja żona, taka rozsądna kobieta w każdej inne rzeczy, a zawsze się dziwi, że jej co poczta nie przysyłam pieniędzy.

— To wszystko nic w porównaniu z moim starym — przerwał Gus Houston, „dziecko“ osady, wesoły, dwudziestoletni chłopiec—wczoraj właśnie miałem list od niego, w którym pisze, że jeślibym co dzień odłożył dla nich po kawałku złota, niczego więcej nie żądaliby odemnie.

— To, to właśnie. Naszem nieszczęściem są ci krewni, niemający pojęcia o bożym świecie — odezwał się któryś — Fallonerowi dziś się poszczęściło, ale on

dukcyi, a z nią — przesilenie. Gdy w Europie nieurodzaj i popyt większy na zboże, natychmiast wzrasta w fermach Zachodu amerykańskiego powierzchnia uprawna; jeśli potem, przy zwiększonej podaży, popyt, dzięki lepszemu urodzajowi w Europie, zmniejsza się, to wielkie fermy wprawdzie przetrzymują złą konjunkturę, ale dla mniejszych fermerów cena zboża nie wynagradza już powiększonych kosztów uprawy i trudniejszą się staje spłata długów hypotecznych, zaciągniętych na kupno i zagospodarowanie kolonij. Niejeden ulega wywłaszczeniu i zamienia się na dzierżawcę. Cała zaś klasa fermerów zaczyna marzyć o ułatwieniu sobie spłaty długów za pomocą zniżenia wartości dolara przez wypuszczenie monety papierowej; te mgliste pragnienia przybierają wyraźną formę — bimetalizmu, oznaczenia legalnego, stałego stosunku wartości między srebrem a złotem na 1 : 16, z chwilą, gdy między r. 1880 a 1890 nadprodukcya kopalni srebra zmusza ich właścicieli do szukania ratunku przeciw ciągłemu spadkowi wartości tego metalu. Stronnictwo „demokratyczne,“ w poprzednim okresie wolno-handlowe i niewolnicze, ma tradycyę agrarną, antyprzemysłową: fermerski bimetalizm staje się jego „platformą.“

Do stronnictwa tego przyłącza się też różnobarwna masa żywiołów, przeciwnych rozwojowi wielkiego kapitalizmu: drobnego i średniego mieszczaństwa, robotników, którzy stoją w Ameryce dotychczas pod silnym wpływem drobnego mieszczaństwa i mają mało rozwiniętą polityczną świadomość klasową, wreszcie — „ostatni nie najmniej ważni“ — pewne odłamy kapitalistów, kupcy importujący i finansiści, ich popierający, zarówno jak spekulanci srebrni, którzy mają interesy sprzeczne z przemysłowcami-protekcyonistami i imperyalistami. Ta niechętna wielkiemu kapitalizmowi partya ze swoją mieszaniną haseł i żywiołów odpowiada — zdaniem Franza— antysemickiej demagogii w krajach europejskich, tylko z tą różnicą, że nie napada na Żydów, bo Vanderbildy, Morgany itp. nie są wcale semitami. Zarzuca ona coraz bardziej swoje „srebrne,“ specyficznie amerykańsko-fermerskie hasło i upodabnia się do europejskich drobnomieszczańskich stronnictw „radykalnych“: organy jej głównie po ostatnich niepomyślnych wyborach na prezydenta zapowiadały na przyszłość taki program: „sprawiedliwy rozkład podatków, obrona słabych od chciwości możnych, zniesienie przywilejów“ itp. Energiczniejsze, ale tylko energiczniejsze żywioły dodają walkę z imperyalizmem i z trustami. Jak i w Europie, w skrajnej lewicy takiego stronnictwa odpadają niektóre żywioły ku stronnictwu jeszcze radykalniejszemu: przykładem znany Eugeniusz Debs. Szerokiego, wszechstronnego znaczenia zaczyna nabierać patetyczny okrzyk kandydata demokratów-bimetalistów, Bryona: „Ameryka nie może dać się ukrzyżować na złotym krzyżu!..“

Tem bardziej, że znika też to, co różniło tak Amerykę od Europy, co apologetom kapitalizmu amerykańskiego pozwalało twierdzić, że „w Stanach Zjednoczonych niema kwestyi społecznej“: niezajęte grunty. Dziś już, w r. 1894, stwierdzono to urzędowo— wolna pozostaje tylko przestrzeń nieurodzajna, bo niemająca rzek ani deszczów wzdłuż gór skalistych. Sztuczne nawodnienie jej byłoby sprzeczne z interesem klasy fermerów, bo zwiększyłoby produkcyę zboża. Wielu zrujnowanych fermerów powraca na Wschód. W r. 1888 statystyka stwierdza istnienie miliona robotników bez pracy.

Jednak możność kolonizacyi przez długi czas utrudniała wytworzenie się odpowiedniej świadomości ludowo-opozycyjnej na wzór krajów europejskich z ziemią oddawna zajętą. Innym czynnikiem utrudniającym byt, jak stwierdza inny pisarz, tegoż kierunku, Vahlteich, jest brak jakiejś wspólnej świadomości altruistycznej, brak daleko niż w Europie dotkliwszy, w tym kraju bez tradycyj, zapełnionym przez ludność najrozmaitszego pochodzenia i języka, która nie zżyła się z sobą. Ruch zawodowy wprawdzie rozwija się dość pomyślnie, ale jedynie na tle interesów materyalnych, całkiem bezpośrednich, bez ogólnej świadomości demokratyczno - opozycyjnej. Tak np., zorganizowani pracownicy w gałęzi tytuniowej oświadczają się przeciw zmniejszeniu podatku tytuniowego, tak uciążliwego dla warstw najbiedniejszych, bo obawiają się spadku swych płac; wypadki podobne są częstsze. Lud amerykanski—pisze z Chicago Vahlteich — kiedy słyszą o podróżach agitacyjnych Liebknechta i Bebla, pytają nas przedewszystkiem, jako o najnaturalniejszą rzecz — ile tym panom też to rocznie przynosi?..

Do kraju, gdzie literalnie tylko każdy o sobie myśli, gdzie dla emigrantów już niema ziemi do kolonizowania, często i pracy w fabryce — przybywa Czolgosz...

K. R.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

STYPENDYA LITERACKIE.

Im więcej jakieś społeczeństwo liczy w swem łonie uczonych, wydzierających przyrodzie tajemnice, kierujących myśl ludzką na nowe tory i przypinających jej coraz to potężniejsze skrzydła — techników, dających ogółowi broń do walki o byt z otoczeniem w postaci wynalazków i udoskonaleń praktycznych — artystów, wskazujących nam, rozleglejsze horyzonty, podnoszących ducha, krzepiących serca, wydobywających na jaw utajone, nieme uczucia, tem szybciej takie społeczeństwo się rozwija i dosięga dobrobyt. Prawda powyższa tak się stała dziś oczywistą, że każde społeczeństwo ucywilizowane dąży wszelkiemi siłami do zwiększenia zastępów inteligencyi, która jest mózgiem i nerwem ogółu, wodzem, prowadzącym tłum nieświadomy celów do zwycięstwa nad przyrodą i nad złymi pierwiastkami, drzemiącymi w duszy ludzkiej. Miliony idą na zakładanie szkół, uniwersytetów, politechnik, akademij specyalnych i nikt ich nie żałuje, boć wiadomo, że owe miliony, to ziarna rzucone do płodnej gleby i przynoszące plon obfity. Zrozumiano też, że nie dość wytworzyć inteligencyę zawodową, nieprzekraczającą pewnych poziomów, ale trzeba jeszcze zapewnić rozwój wybitniejszym jednostkom, mogącym dotrzeć na same szczyty. Rolę takich czynników odgrywają akademie naukowe, gdzie uczeni otrzymują moralne bodźce do pracy w postaci odznaczeń i materyalne poparcie w formie nagród za dokonane odkrycia; uniwersytety

---

wprawdzie wogóle od nas szczęśliwszy, bo nie ma ani brata, ani swata.

Daddy poczekał cierpliwie, aż przeszło pierwsze oburzenie i drugi list wyciągnął z kieszeni.

— Nic konice na tem, chłopcy -- zaczął niepewnym głosem, który jednak stopniowo nabierał siły i patetycznego wyrazu — właśnie, kiedy to wszystko, co wy teraz mówicie, myślałem, zobaczyłem ten oto kawałek papieru i — przeczytałem — mówię wam — w gardle mię ścisnęło — Zawahał się i głos mu zadrżał.

— Zwolna, zwolna, Daddy—odezwał się jeden ze słuchaczy, uśmiechając się przyjaźnie.

Widocznie poczciwa wrażliwość Daddy ego była im wszystkim dobrze znana.

Daddy zabrał się do czytania listu chłopca. Lecz na nieszczęście pod wpływem wzruszenia, zaczął dziwacznie przekręcać wyrazy i naśladować głos i wymowę dziecka, co, oczywiście, na słuchaczy, już trochę podochoconych, podziałało rozśmieszająco. Jednakże, gdy skończył, list poszedł z rąk do rąk i w całem zebraniu zapanowało milczenie.

— Słuchajcie, chłopcy, ja wam powiem—rzekł nakoniec Fletcher, zwracając się do wszystkich.—Czyś mówił z Dickem?—zapytał Dady ego.

— Jakże! toć on zupełnie nieprzytomny... w gorączce—nie rozumie co się do niego mówi — i tylko mamrocze wciąż i, mamrocze—odparł Daddy, zapominając o swej własnej a tak niedawnej dyagnozie—i przytem nie ma ani centa.

— Musimy więc zebrać coś między sobą, nim poczta odejdzie — wtrąciło się „dziecko,“ pośpiesznie zanurzając ręce w kieszeń. — A więc, na pierwszy początek, panowie—dodał, wypróżniając na stół zawartość skórzanego woreczka.

— Poczekajcież, chłopcy — rozległ się spokojny głos Fallonera, który podniósł się i wdziewał płaszcz ceratowy .— Każdy z was ma kogoś, o kim pamiętać musi, a ja nie mam nikogo. Zostawcie więc mnie pieczę o tej sprawie. Muszę iść na pocztę, ażeby zatrzymać miejsce dla siebie, za jednym więc zamachem wyślę przekaz i dla tego starego durnia Rickettsa, czy jak się tam nazywa. A wy tymczasem napiszcie tu co, powiedzcie naprzykład, że Dick skaleczył się w rękę i nie może pisać... no, wiecie, ale prosił żebyście go wyręczyli w wyprawieniu przekazu. Ot i wszystko! Ja teraz idę na pocztę wyprawić pieniądze, a wy list możecie wrzucić później. Piasek wsypcie sobie nazad w kieszenie i nie zapominajcie, że kieliszek i butelkę macie przed sobą.

Z temi słowy porwał za kapelusz i zniknął za drzwiami.

— Ot, człowiek biały — odezwał się Fletcher zachwycony, kiedy drzwi zamknęły się za wychodzącym. — A teraz my, chłopcy, weźmy się do listu — dodał, przysuwając się z krzesłem do stołu—a potem powrócimy do gry.

Przyniesiono pióro i atrament i zaczęto spierać się co do formy zakomunikowania o przesłaniu pieniędzy. Odrzucono propozycyę dłuższego i serdeczniejszego wyjaśnienia podaną przez Daddy'ego i poprzestano na kilku słówkach zawiadomienia tak, jak podyktował im Falloner.

— Ale cóż będzie z listem małego Jima — trapił się Daddy — przecież trzeba dziecku coś odpisać.

— Jeśli Dick nie może odpisać Rickettsowi, bo skaleczył rękę, to jakże, u licha, odpisze Jimowi — odpowiedziano mu chórem.

— Coś mu jednak trzeba napisać—upierał się Daddy.

— A więc pisz sam, piszcie we dwóch z Houstonem, ja idę grać — odparł Fletcher, siadając do kart. Za jego przykładem poszli wszyscy prócz Daddy'ego i Houstona.

— A właśnie — odrzekł Daddy z miną zakłopotaną — możnaby jednak napisać w jego imieniu — dodał zaraz, rozjaśniając się pod wływem tego pomysłu.

— Doskonale, od czegóż głowa na karku! A więc do roboty.

(C. d. n.).

dostarczają swym uzdolnionym wychowańcom stypendyów na dalsze studya, zapewniają im możność samodzielnej pracy w umiłowanej dziedzinie... Muzea, fundowane i wyposażane przez państwo, biblioteki dokonywają reszty; jednostka naprawdę wybitna, znajduje wszelkie ułatwienia i zachęty do rozwoju. Taka metoda popierania ludzi poświęcających się wiedzy ścisłej, naukom społecznym i filozoficznym, okazała się znakomitą; ludzie prywatni przychodzą z dzielną pomocą społeczeństwu, zapisując mu majątki na uniwersytety, muzea albo na fundusze, dostarczające nagród za wyróżniające się prace.

Podobnem poparciem cieszą się także artyści, i bardzo słusznie; talent malarski, albo rzeźbiarski, jest jak dyament, który wtedy dopiero rozsiewa całe bogactwo blasków, skoro go mozolnie oszlifować. Mamy więc akademie sztuk pięknych, gdzie młodzieńcy, wspierają swoje talenty gruntownem wykształceniem pod kierunkiem profesorów. Nie dość na tem, młodzi malarze, czy rzeźbiarze, otrzymują od wyposażonych szczodrze akademij stypendya na wyjazdy za granicę w celu rozwijania talentu, mają możność ubiegania się o medale na wystawach, o profesury w szkołach malarskich itd.

To też prawdziwe talenty w tym kierunku rzadko się marnują. Inaczej, niestety, dzieje się w literaturze pięknej. Ci, którzy w swych utworach zześrodkowują niewidzialne promyki myśli i uczuć ogółu w jasno gorejące słońca, przyświecające ludzkości w jej mozolnym pochodzie ku ideałowi, co cierpią i kochają za miliony, co nas podnoszą z prochu życia powszedniego w podobłoczne krainy ideału na swych orlich skrzydłach, są jak dzikie kwiaty, umajające na wiosnę lasy i niwy, a ginące w objęciach srogiej zimy; nie podwiąże ich, nie zrosi żadna przychylna ręka, nie zabezpieczy od mrozów i wichrów życia, nie przesadzi do żyznego ogrodu, gdzieby się zakorzeniły głęboko i wyrosły potężnie, dziesięciokroć pełniejsze i wonniejsze.

Pozostawiony własnym siłom talent literacki najczęściej zanika i wyradza się; tylko wyjątkowo silne i bujne uzdolnienia rozwijają się, wbrew przeszkodom, o ile losy postawią je w przyjaznych warunkach.

Ale jakże nieliczne jednostki mają zapewniony rozwój w znośnych warunkach! Olbrzymia większość talentów marnieje; przedewszystkiem poeta lub literat młody nie może się kształcić pod kierunkiem wytrawnych znawców, jak malarz lub muzyk, bo nikomu nie przyszło do głowy zakładać akademij literackich; co najwyżej tu i owdzie otworzono t. z. wydziały literackie przy uniwersytetach, gdzie nb. dają tylko wykształcenie ogólne, a dla rozwoju talentu nic nie robią. Zresztą o tem niema co wspominać: literat wyrabia się i rozwija sam, o własnych siłach, obierając sobie zwykle jakiegoś mistrza na wzór, naśladuje go i przez długi czas nie może potem wyłamać się z pod jego wpływów; co gorsza, nauka ta odbywa się kosztem literatury; początkujący literat drukuje swe niedojrzałe utwory, a krytyka, zamiast odgrywać względem niego naturalną rolę profesora względem ucznia, zaprawia i ostrzy na nim swe pióra, oblewa jadem zawiści zawodowej, zabija milczeniem, albo psuje pobłażliwością benjaminka. Krytyka była i będzie przez długi czas tępicielką talentów; co do publiczności, ta nie może i nie powinna odgrywać roli rozwojowego czynnika, bo ma zanadto mało sądu, jako jednostka zbiorowa, i za bardzo rządzi się wrażeniem.

Najzgubniejszą jest jednak walka, jaką stoczyć musi kiełkujący talent, zanim uda mu się wychylić głowę nad śnieg obojętności i wydać pierwszy kwiatek. Młody talent bierze swój utwór w kieszeń i błądzi od redakcyi do redakcyi, gdzie sobie nie zadają trudu ocenienia jego uzdolnień, boć pismo jest przedsiębiorstwem, nabywającem chętnie towar marki znanej i mającej pokup u prenumeraty. W dodatku kierownicy dzienników nie znają się na literaturze, choć drukują fejletony, i sądzą talent z publicystycznego punktu widzenia, a nie z literackiego; starają się więc przypiąć doń co prędzej etykietkę swego obozu.

O księgarzach i wspominać nie warto; mają oni co najwyżej węch zamiast znawstwa, rekrutują się ze sfery subjektów handlowych, a więc nie posiadają nawet elementarnego wykształcenia, a cóż dopiero literackiego. Talent więc ma do zwalczenia ignorancyę i geszefciarskie instynkty księgarzy, ćwieki redaktorskie, uprzedzenia i niesumienność krytyki oraz bezwładność publiczności, której sądy zależą od krytyki i od wielu okoliczności, niebędących w żadnym związku z wartością utworu.

Nieuznany, daremnie kołatający u swoich malarz czy muzyk, w ostateczności ucieka do obcych i tam zdobywa sobie sławę, o ile ma talent. Tak robiło wielu, a myśmy ich potem przyjmowali z otwartemi ramionami, odurzeni cudzoziemskiemi kadzidłami, tak jak gdybyśmy wspierali ich pierwsze kroki. Ale poeta czy literat polski nie może postąpić, jak muzyk, bo język, którym przemawia, nie jest kosmopolitycznym; wyjątkowo tylko uzdolnione lingwistycznie jednostki sięgają po cudzoziemskie laury. Tem bardziej więc powinnismy dbać o nasze talenty literackie, starać się, aby się nie marnowały, bo talenty to bogactwo i chluba narodowa.

Dalecy jesteśmy od przekonania, że w dzisiejszych warunkach możnaby do gruntu przeobrazić zły stan rzeczy, stworzyć atmosferę przyjazną dla rozwoju talentów literackich; siła jednostek, a nawet grup nie sprosta podobnemu zadaniu. A jednak dałoby się uratować choć część pączków, skazanych na nędzną wegetacyę w dusznem powietrzu!

Przypatrzmy się tylko, jak i co piszą nasi literaci, a odrazu zrozumiemy, co należy uczynić.

Weźmy ubogiego poetę albo powieściopisarza, bo takich jest najwięcej; boryka się on zwykle z nędzą, pisząc; wreszcie z pod pióra jego wychodzi utwór, który znajduje miejsce w *Kuryerku* albo w jednym z tygodników. Od tej chwili rozpoczyna się zwykle upadek talentu: poeta musi przecież żyć, więc pisze coraz więcej, coraz pospieszniej, ulega kaprysom redaktorów, oddaje się im, jak prostytutka, najlepiej płacącemu i zamiast rozwijać talent, marnuje go w kilka lat.

To samo zupełnie odnosi się do powieściopisarzy: zarabiają oni od początku lepiej od poetów, ale w tem właśnie leży zło; zaczynają oni bowiem traktować literaturę jako środek do utrzymania, wpadają w kompromisy, w manierę, tracą indywidualność i w końcu zostają rzemieślnikami. Jeżeli literat czuje niebezpieczeństwo i odwraca się od pisania na zamówienie, nie pozostaje mu nic innego, jak przyjąć posadę, poświęcić się adwokaturze, medycynie, przemysłowi itd. To mu pozwala traktować literaturę jako rozrywkę, potrzebę serca. Jest to jednak złudzenie, literat przekonywa się w końcu, że obowiązkowa praca wyczerpuje jego energię i przeszkadza mu skupić myśli, zamyka go w ciasnem kółku nieraz wstrętnych stosunków i czyni bezpłodnym albo zmusza do pisania poronionych utworów.

Z pomiędzy wszystkich sytuacyj praca uboczna jest atoli złem najmniejszem, tylko nie każdy literat może i potrafi być równocześnie urzędnikiem i pisać poezye, albo powieści. To też, dla przysporzenia dochodów, oddaje się dziennikarstwu, zaczyna pisać w kwestyach, na których się nie zna i w końcu zamienia się w wyrobnika. Ileż przykładów moglibyśmy przytoczyć tutaj; ale po co, skoro taki stan rzeczy jest tajemnicą publiczną?!

Wyrobnik, przykuty do kantorowego lub dziennikarskiego biurka od rana do wieczora, marzy o kilku miesiącach swobody, spokoju, o zrzuceniu na krótki czas choćby przygniatającego go jarzma, aby się oddać pracy twórczej, żeby napisać to, do czego czuje zapał, co pociąga go i kusi.

Ileż to pięknych utworów przybyłoby naszej literaturze, gdyby ci mogli od czasu do czasu wylecieć w świat z głową spokojną, osiąść na kilka miesięcy gdzieś zdala od wrzawy miejskiej, pośród podnoszącej ducha, malowniczej przyrody i popracować swobodnie; ile nazwisk ozdobiłoby jej karty, gdyby społeczeństwo podało rękę młodym talentom. Dlaczegóż więc nie uczyni dla nich choć cząstki tego, co oddawna zrobiono dla malarzy, rzeźbiarzy, muzyków?

Mamy tu na myśli stypendya literackie. Ludzie, którym leży na sercu rozwój literatury ojczystej, niech złożyli fundusz 1.200 rb., który wytworzyłby dwa stypendya. Pierwsze imienia np. Juliusza Słowackiego w kwocie 600 rb. komitet, powołany z łona literatów, miałby prawo przyznać młodemu, utalentowanemu poecie, dla umożliwienia mu napisania poematu. Stypendysta zobowiązałby się moralnie przedstawić nowy utwór komitetowi po upływie roku od chwili otrzymania stypendyum. Komitet odczytałby utwór i zalecił go do druku wydawcom czy pismom, oraz podałby jego treść z uwagami krytycznemi, o ileby utwór na to zasługiwał.

Komitet mógłby przyznać stypendyum temu samemu poecie na rok następny, jeżeliby się przekonał, że to leży w interesie literatury.

Drugie stypendyum otrzymałby autor, piszący prozą, bądź powieści i nowele, bądź dramaty i komedye.

Stosowałoby się tutaj to samo, co powiedziano wyżej o stypendystach poetach. Utwór, przedstawiony komitetowi, powinienby nosić cechę artystyczną i swojską, oraz mieć formę wykończoną.

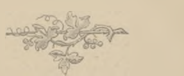
Rękopisy pozostałyby własnością autorów: korzystanie ze stypendyów nie wkładałoby żadnych obowiązków na stypendystów, oprócz pracy.

Co rok, w jesieni, komitet ogłaszałby obok treści otrzymanych utworów nazwiska stypendystów.

Jest to tylko szkic projektu; nie wchodzimy w szczegóły, dopóki nie wiemy, jak się zachowa społeczeństwo wobec niego.

Czas chyba zrobić cokolwiek dla rozwoju talentów literackich i wynagrodzić choć w części niesprawiedliwość, jaka się dzieje ludziom, powołanym do pracy twórczej w tej dziedzinie. Naszem zdaniem, stypendya literackie byłyby lepszym środkiem zachęty, aniżeli konkursy, ogłaszane zazwyczaj przez wydawców. Konkursy dają zresztą nieszczególne wyniki, zapewne dlatego, że biorący w nich udział pracują pospiesznie i w złych warunkach, kradnąc poprostu czas, przeznaczony na wypoczynek po zajęciach obowiązkowych.

W. Umińska.



Instytucye informacyjno-społeczne w Niemczech.

Muzea społeczne.

Oglądaliśmy w panoramie szkicu poblicznego część jednej z prowincyj „społecznych państwa w państwie.“ Przyjrzeliśmy się sekretaryatom pracy, które wraz ze związkami fachowymi i stowarzyszeniami spożywczemi spoczęły na barkach ludu pracującego i mają na celu bądź jego samoobronę społeczną, bądź organizacyę ekonomiczną. Inną grupę — odmiennej treści psychologiczno-społecznej stanowią instytucye społeczno-państwowe. Mamy na myśli takie urządzenia, jak ubezpieczenie na starość tudzież w razie choroby, nieszczęśliwego wypadku i nieuleczalnego kalectwa, kasy dla chorych, sądy przemysłowo-rozjemcze, komunalne wykazy pracy, ubezpieczenie na wypadek bezrobocia i cały ogrom prawodawstwa fabrycznego w jego rozmaitych rozgałęzieniach. Instytucye te, znajdujące się częściowo pod nadzorem sfer zainteresowanych, wyłamują się stopniowo z pod wpływu biurokracyi, a nawet usiłują w ostatnich czasach nawiązać stałe stosunki z grupą pierwszą, cieszącą się zupełną autonomią społeczną.

Trzecia prowincya wreszcie państwa społecznego jest widownią prób i czynów filantropii społecznej, dokonywanych bądź pod naciskiem opinii publicznej, bądź w przestrachu na odgłos pewnych krańcowych haseł, bądź dla zacnej reklamy i zadowolenia. Tak przedstawiają się trzy prowincye faktów i instytucyj społecznych, którym odpowiada nieprzejrzana wprost literatura oraz prasa, składająca się z kilkudziesięciu pism większego i mniejszego kalibru, ogólniejszej i specyalniejszej treści. Dość powiedzieć, że każda z wyżej wspomnianych instytucyj bez wyjątku posiada własny organ, a niekiedy liczy ich kilka. Ogarniając spojrzeniem cały ten mikrokosmos społeczny, nie będziemy się dziwili, iż musiała powstać myśl stworzenia zakładu, który w sposób poglądowy dawałby odbicie i przegląd wszystkich zachodzących tam spraw. Podobnie jak istnieje pismo centralne, zawierające kwintesencyę treści swych stowarzyszeń, które notuje wszelki zwrot w każdej z kwestyj poszczególnych, tak koniecznym jest przybytek informacyj poglądowych. Jak wspomnieliśmy na szpaltach *Prawdy*, świat kupiecki uznał potrzebę zdjęcia fotograficznego stanu handlu w formie „Muzeów handlowych.“ Mają one przedstawiać nie fotografie jednorazowe, lecz ukazywać jakby w kinematografie ruch i nieustanny rozwój dziedziny wymiany. Podobne zadanie powierzono muzeum społecznemu.

Kołyską tej instytucyi jest właściwie Francya, gdzie zresztą trudni się ona przeważnie badaniem życia ludu pracującego, a oprócz tego udziela informacyj i rad w materyach tego rodzaju jak stowarzyszenia, kwestya mieszkaniowa, kasy oszczędności itp. Pod kierownictwem uczonych Muzeum paryskie ogłasza wydawnictwa, urządza ankiety i konkursy itd. Powstałe przed dwoma laty muzeum holenderskie, dzięki poparciu mniej lub więcej społecznie usposobionych przedstawicieli najrozmaitszych stronnictw, wzoruje się zupełnie na prototypie paryskim.

W Niemczech jednak tego rodzaju instytucya nie miałaby racyi bytu. Na literaturze odnośnej tu nie zbywa, a każda chociażby najdrobniejsza kwestya, jak kąpiele, wieczorki lub sanatorya ludowe, ma własnego patrona w postaci stowarzyszenia z licznemi filiami i własnym organem. Potrzeba natomiast informować ogół o postępie urządzeń społecznych w formie skróconej, popularnej, a temu celowi miały służyć muzea społeczne.

Już w 1889 r. prasa niemiecka, zaniepokojona bajeczną ilością nieszczęśliwych wypadków w wielkim przemyśle, zażądała od sfer panujących urządzenia „Wystawy środków zapobiegawczych przeciwko nieszczęśliwym wypadkom.“ Wystawa ta zawierała systematyczny przegląd wszelkich metod zapobiegawczych, stosowanych w przemyśle przetwórczym i rolnictwie, a nawet tylko projektowanych przez naukę. Tu właśnie wyszło na jaw, jak dalece jeszcze praktyka z powodów aż nadto zrozumiałych i przejrzystych pozostaje w tyle za teoryą ożywianą prawdziwie humanitarnemi uczuciami. Od tego czasu wszystkie stronnictwa parlamentarne wszelkich kolorów i odcieni, jako to czerni prawowiernej, szarzyzny liberalnej i czerwieni radykalnej, zaczęły domagać się utworzenia muzeum, którego kolekcye byłyby wyrzutem sumienia i wskaźnikiem etycznym dla egoistów, nie chcących bądź dla oszczędności, bądź przez zatwardziałość serca i przekorność dawać posłuchu wymaganiom społecznym. Wreszcie w 1900 r. rząd raczył po długiem wahaniu przyklasnąć projektowi, wyznaczając pierwszą ratę na budowę gmachu, który będzie przypominał piekło, wybrukowane dobremi chęciami. Tu bowiem znajdą schronienie wszelkie chociażby najbardziej lekceważone i rozmyślnie przeoczane przez praktykę środki zapobiegawcze, udoskonalenia hygieny mieszkaniowej oraz hygieny żywnościowej. W audytoryum specyalnie wybudowanem prorocy, wołający na puszczy, będą usiłowali zdobywać sobie serca słuchaczy, a wzorowa biblioteka będzie pouczała wszystkich łaknących wiedzy humanitarnej. Muzeum otworzy wrota swe na oścież wszelkim wynalazkom osób prywatnych lub pomysłom zastosowanym przez to lub inne przedsiębiorstwo. Oprócz tego oczywiście zamierza ono odnawiać swe zbiory tak, aby odzwierciadlały stan współczesny środków ratunkowych. Z czasem tedy powstanie wystawa urządzeń, wzorów, maszyn, modeli, szkiców itp., jaką nie może poszczycić się żaden kraj na świecie. W tem muzeum „praktyki społecznej“ będą mogli uzupełniać swe wiadomości fabrykanci, inżenierowie, inspektorowie fabryczni, politycy, działacze oraz filantropowie społeczni wszelakiego rodzaju.

Już po narodzinach projektu i uchwaleniu odnośnej ustawy, zwrócono uwagę na niestosowność umieszczenia podobnej instytucyi. Wielki przemysł obiera często swe pole operacyjne na głuchej prowincyi, dokąd dostanie się zaledwie jedna kropla ze źródła oświaty społecznej, tryskającego w stolicy. Tam w zaścianku kontrola opinii publicznej, w lepszem tego słowa znaczeniu, nie ciąży zbytnio na jednostce, a egoizm społeczny nie napotyka na swej drodze przegród etycznych. Dlatego uchwalono zakładać wszędzie, gdzie się da, muzea prowincyonalne, a oprócz tego pojedyncze oddziały centralnego muzeum mają odbywać wędrówkę po całem państwie, zatrzymując się na pewien czas w każdym poważniejszym ośrodku przemysłowym. Zwyczaj ten ruchomych wystaw praktykuje się w Niemczech już od kilku lat. Tak np. wystawa pokazująca „Sztukę w życiu dziecka,“ niedawno udała się w podróż.

W 1900 roku powstało już pierwsze muzeum „prowincyonalne“ w Monachium, poświęcone praktyce społecznej. Wszelkie nowości z tej dziedziny, bądź są pokazywane, bądź wystawiane w formie modeli, rysunków, opisów itp. Odnośnych przedmiotów dostarczają sami interesanci tytułem darowizny lub wypożyczając je na pewien czas. Wystawa obejmuje kilka grup. W pierwszym oddziale znajdują się naprzód wszelkie urządzenia ochronne wogóle, a następnie te, które dotyczą specyalnych gałęzi przemysłu. W grupie ogólnej uwzględniono siłę parową, motory, transmisye, narzędzia, windy, krany, pożary i nieszczęśliwe wypadki. Drugi wielki oddział, poświęcony hygienie przemysłowej, ilustruje wzorowe materyały pracy, procedury robocze i urządzenia warsztatowe. Trzeci oddział wreszcie poucza nas o kwestyi mieszkaniowej, instytucyach oszczędności, ubezpieczeniu od choroby oraz na wypadek śmierci i kalectwa, ochronkach dziecinnych, ogródkach freblowskich, szkołach zawodowych, szkołach gospodarskich, biurach pracy, opiece nad pozbawionymi zajęcia i wszelkiej filantropii społecznej.

W dodatkowym oddziale znajdujemy bogaty zbiór sprawozdań urzędowych, rozmaitych pism fachowych i publikacyj w kwestyi społecznej.

Poznaliśmy w ten sposób dwie formy instytucyj informacyjno-społecznych. Jedna—biura porady, opiera się na zbiorowej samopomocy sfer zainteresowanych — druga zaś jest przeznaczoną przeważnie dla warstw posiadających, które ma pouczać olśniewając widokiem zdobyczy, dokonanych w teoryi i praktyce.

H.

WYSTAWA FOTOGRAFICZNA.

Dzięki inicyatywie W. Tow. Dobroczynności, Warszawa ma nową, specyalną wystawę, licznie zasilaną nietylko przez zawodowców ale i amatorów. Robi ona wrażenie dodatnie i upoważnia nas do wypowiedzenia zdania, że nasi fotografowie pod względem technicznym, a zwłaszcza artystycznym, stoją nie niżej od swych zachodnich kolegów.

Nie mając dużo miejsca na sprawozdanie, poprzestaniemy na rzeczach najważniejszych i najpiękniejszych.

Zacząć należy od pierwszej w kraju fabryki instrumentów optycznych Fos, znajdującej się pod kierownictwem p. A. Ginsberga, warszawiaka, który przez długi czas pracował w słynnych zakładach Zeissa.

P. Ginsberg obliczył nową kombinacyę soczewek fotograficznych, której nadał nazwę planistygmatu „Fos“ i nowy objektyw nietylko wytrzymuje porównanie z najbardziej renomowanymi objektywami Goerza i Zeissa, ale pod pewnymi względami nawet je przewyższa: zdjęcia, dokonane nim nie pozostawiają nic do życzenia; planistygmat jest nadto tańszy od anastygmatów Goerza.

P. Ginsberg wystawił okazy szkła używanego do tego celu i soczewki w rozmaitych fazach wykończenia, a także instrumenty dla geometrów. Publiczność przygląda się szlifowaniu szkieł na maszynie. Jestto niezawodnie jeden z najpoważniejszych wystawców.

Drugie miejsce z kolei należy się p. Lebiedzińskiemu, chemikowi - inżenierowi, który wiedzę swą poświęcił na usługi fotografii i doszedł do bardzo ładnych rezultatów. On pierwszy dokonywał w Warszawie zdjęć sposobem Röntgena i wystawił swe klisze, on zbudował niedawno pierwszy kinematograf, do współki z bb. Popławskimi. Używał on do projekcyi klisz szklanych, umieszczonych na obwodzie tarczy okrągłej; wynalazek ten nie przyniósł atoli korzyści spodziewanych, dla tego tylko, że p. L. nie wpadł na pomysł zastosowania błon celuloidynowych, czyniących przyrząd lekkim i praktycznym.

P. Lebiedziński wynalazł także aparat do fotografowania drgań szyn i plantu podczas biegu pociągów, za co otrzymał odznaczenie zaszczytne na wystawie paryskiej.

Bardzo ładnym jest też papier fotograficzny wynaleziony przez p. L i fabrykowany przez niego (photocrayon); aparacik steroskopowy, pod nazwą „Diops," z objektywami „Fos," odznacza się małymi rozmiarami i daje ostre zdjęcia, wytrzymujące sześciokrotne linijne powiększenie.

P. Kazimierz Prószyński pokazał nam swojego wynalazku kinematograf (biopleograf), w którym miganie obrazów sprowadza do minimum. Budowa przyrządu jest prosta i mocna; p. Prószyński wyrobił dwa typy: duży i amatorski. Zdjęcia dokonane bio-pleografem, są wyraźne i trafnie wybrane.

P. Mieczkowski, fotograf zawodowy, udoskonalił sposób robienia zdjęć przy świetle proszku magnezyowego; zdołał on osiągnąć niepospolitą miękkość portretów, co nie należy do rzeczy łatwych, wobec wielkiego natężenia światła. Wystawione przez niego fotografie (ekspozycya $^1/_{30}$ sekundy), pod względem plastyki i swobody układu, są niezwykle dobre.

Z pomiędzy udoskonaleń należy też wymienić przyrząd p. Ellenbanda „Błyskawica" do kopiowania przy sztucznem świetle jednocześnie 15 odbitek na czułym papierze. Znajdzie on głównie zastosowanie do wytwarzania masowego fotograficznych kart pocztowych, które weszły w modę...

Niektórzy wydawcy kart pocztowych, jak np. p. Kasprzycki, słusznie ozdabiają je krajobrazami swojskimi, ruinami zamków, pamiątkami i typami.

Idziemy dalej w katalogowym porządku.

Hr. Jan Tyszkiewicz uprawia artyzm w dziedzinie fotografii i z powodzeniem; jego kompozycye na temat posiedzeń w w piwnicach przy pucharach—to prawdziwe obrazy.

Pan Szalay, zawodowiec, wystawił także dwie kopie w dużych formatach na kliszach ortochromatycznych, które pozwalają otrzymać niezmiernie delikatne stopniowanie w cieniach: kwiaciarkę włoską i rybaczkę, są to rzeczy prześliczne, szkoda tylko, że są wykonane za granicą i służą do zareklamowania klisz Parutza.

Hr Adamowa Krasińska zalicza się też do zręcznych amatorek.

Wysoko pod względem artystycznym stoi wystawa firmy Golcz w Warszawie. Znajdujemy tam śliczną główkę p-ny Z., rodzaj studyum, i wspaniałe reprodukcye obrazów na papierze pigmentowym w tonie sepia: „Szału" Podkowińskiego, „Żaków" Matejki, „Utarczki" Brandta itd. Reprodukcye na papierach matowych i kolodyonowych („Napad wilków" Kowalskiego) nie ustępują tamtym.

Pomiędzy przyrządami znajduje się sporo nowości (małe kinematografy amatorskie, lornetka a zarazem aparat fotograficzny Goerza), ale są to fabrykaty zagraniczne, więc zatrzymywać się nad nimi nie będziemy.

P. Nowalis zrobił sobie specyalność ze zdjęć sportowych, pomiędzy któremi są rzeczy nie pozbawione artystycznej strony, np. „Wyjazd na polowanie z chartami"; jest to fotograf od hrabiów i książąt, zwykłych śmiertelników nie wystawia, z wyjątkiem Sloana.

Wogóle sport fotograficzny liczy zwolenników pomiędzy utytułowanymi. Dzięki dużym środkom materyalnym, pobijają oni nieraz zawodowców, np. sceny rodzajowe hr. B. Tyszkiewicza są nader udatne.

Rzecz naturalna, że na wystawie znalazły się i promienie Röntgena. Dr. Z. Bychowski urządził pracownię, i za 20 kop. prześwietla amatorów. Bardzo to ciekawe, wydaje się nam jednak niewłaściwem, pobieranie tak wysokiej stosunkowo opłaty za pięciominutową demonstracyę, boć bilet na wystawę kosztuje 25 kop.

Zdjęcia radiograficzne przedstwiają przedmiot ciekawy dla lekarzy.

Dalsze zdjęcia w zakresie technicznym, dali pp. Chołowiński i Rajmund.

P. Janowski, autor „Wycieczek po kraju," jest zdolnym i zamiłowanym amatorem; zrobił on do tysiąca zdjęć zabytków w Polsce, ruin zamków etc., wskazując drogę swym kolegom, którzy psują klisze na rzeczy błahe. Zasługa to niemała.

Amatorów figuruje niewielu, ale za to prawie wszyscy dali rzeczy wartościowe. Na wzmiankę zasługują: pp. Okolski, zdjęcia techniczne; p. Rzeszotarski za mikrofotografię struktury żelaza, bardzo cenne dla specyalistów; p. Bruno Kalske, za niezłe portety i powiększenia; p. Barszczewski, za piękne fotografie z Azyi środkowej, przedstawiające góry, typy i architekturę; p. Kulikowski, p. Wróblewski (zdjęcie księżyca), p. Józef Potocki (zdjęcia afrykańskie), p Strzelecki, za syberyjskie typy i krajobrazy, p. Milewski za Morze Białe.

P. Niewiarowski, zawodowiec z Petersburga, pokazał fotografie na aluminium i złocie.

Specyalne wystawy, starannie urządzane, mogą snać liczyć w Warszawie na powodzenie, bo publiczność chętnie je odwiedza.

Teraz słówko o brakach. Katalogu, wprawdzie z powodów niezależnych od komitetu, nie przygotowano na czas; następnie nadeszło mało okazów z dziedziny zastosowań fotografii do badań naukowych, które są dziś tak rozległe. Niema też fotografij barwnych.

Luki te w części można przypisać improwizowanemu charakterowi wystawy, w części zaś brakowi okazów dających się wystawić.



BADANIA NAUKOWE.

CZEM JEST MATERYALIZM EKONOMICZNY?

(Dokończenie).

V.

Już z tego, cośmy powiedzieli dotychczas, widać jasno, że materyalizm ekonomiczny nie uważa formy społecznej „ideologii," za prosty tylko epifenomen i roli jej względem podstawy ekonomicznej nie przedstawia sobie—że powtórzymy użyte już gdzieindziej porównanie—jak gdyby rzeka płynęła pod zwierciadłem. Przeciwnie, przypisuje on formie wraz ze względną niezależnością i władzę oddziaływania na samą podstawę. W poprzednim rozdziale widzieliśmy zachowawcze, opóźniające działanie tej siły; lecz nie jest ono bynajmniej jedynem.

Jeśli bowiem stan nieprzystosowania formy do zawartości opóźnia rozwój tej ostatniej, to fakt przystosowania się musi oczywiście rozwój ten przyspieszać. Bezpośrednio daje się to stwierdzić w chwilach przewrotów. Tak np. rozwój nowożytnych sił wytwórczych burzy prawo cechowe i wogóle feodalne; ustanowienie nowego prawa literalnie rozpętuje też siły wytwórcze. Zjawisko zaś to nie odbywa się tylko na wielką skalę, peryodycznie, ale i na małą, stopniowo, w każdej chwili. Co chwila zmiana, zachodząca w treści społecznej, uderza o przeżywającą się formę i wywiera na nią częściowo skuteczny nacisk przystosowujący; zanim zaś w ten sposób wytworzona nowa forma stanie się nową przeszkodą dla dalszej zmiany, sam fakt jej zjawienia się posuwa o krok naprzód proces przekształcania się podstawy. Dwa te procesy warunkują się nawzajem, stanowią właściwie jeden tylko: tak zupełnie, jak przy spaleniu się świecy topnienie tłuszczu warunkuje płomień, a płomień z kolei roztapia następną cząsteczkę tłuszczu. W procesie społecznym przyczyna staje się ciągle skutkiem, i naodwrót: takie jest najogólniejsze znaczenie słynnej i według niektórych tak tajemniczej dyalektyki heglowsko - marxowskiej. Zdaje mi się, że gdy proces społeczny rozłożymy w ten sposób na *momenty*, na *nieskończenie małe*, to i „sposób łączenia się" („mode de jonction" Sorela) określającej podstawy z określaną nadbudową, stosunek między tą zmienną i tą funkcyą, przestaje być tak dalece zagadkowym. Daje się wówczas łatwo pojąć, że życie społeczne stanowi jedność, że istnieje związek i zależność wzajemna między wszystkimi jego objawami; że rozwoju ekonomicznego tak samo nie można zrozumieć bez prawnego i filozoficznego, jak i naodwrót, i że wogóle, wszelka kategorya zjawisk daje się od pozostałych wyosobnić tylko w czystej abstrakcyi; ale jednocześnie trzeba się zgodzić, że badanie naukowe wymaga koniecznie całkowania tych nieskończenie małych w pewnych, szerszych lub ciaśniejszych granicach, że abstrakcya i klasyfikacya zjawisk przy badaniu pewnego chwilowego peryodu są niezbędnym warunkiem wyjścia z zaczarowanego koła zależności wzajemnej i, jako takie, całkiem uzasadnione, a wówczas oczywistem jest, że wszystkie inne czynności społeczne opierają się na ekonomicznej i że sprężyną całego ruchu społecznego jest nieustanna dążność do większej produkcyjności, do mniejszego wysiłku gospodarczego. Ona to określa szereg wynalazków technicznych — przyczem współdziała z nią zawsze już istniejąca, dziedziczna forma społeczna. Co się zaś tyczy wszystkich zmian i naśladownictw, których sieć stanowi życie społeczne, to formułujemy następujące prawo: Nowość, zjawiająca się w podstawowej dziedzinie zjawisk, wywołuje zawsze, wcześniej czy później, odpowiednio przystosowane nowości (zmiany) w nadbudowie; chociaż zaś, na zasadzie pewnej niezależności formy, mogą się w niej zarysowywać niektóre zmiany, niemające bezpośredniego związku przyczynowego z procesem podstawowym, to jednak nowość stopnia formalnego utrwalić się może tylko wtedy, jeśli odpowiada stanowi podstawy społecznej. Na tej samej zasadzie naśladowanie form społecznych jednego kraju przez drugi jest możliwe tylko wtedy, jeżeli podstawa społeczna w kraju naśladującym jest już do tego w pewnym stopniu przygotowana, a wówczas naśladownictwo takie przyspiesza rozwój kraju naśladującego w kierunku naśladowanego.

Oprócz wyżej wyłuszczonego, najogólniejszego, dyalektyka ma też pewne ściślejsze znaczenie. Forma społeczna twardnieje, krystalizuje się w panujących zasadach, instytucyach i dogmatach. Nie pospiesza ona za rozwojem podstawy ekonomicznej lub zwyczajowej czy naukowej itd. Rozwój ten posuwa się stopniowo, drobnymi krokami, niespostrzeganymi na razie przez świadomość ludzką. Dopiero po pewnym czasie nagle drobne te wyprzedzenia sumują się w jedną całość— i okazuje się, że forma społeczna, poprzednio przystosowana, obecnie znajduje się w sprzeczności z treścią społeczną. Zatem zmienia ona niejako znak, kierunek: „rozum — nonsensem, dobro — złem się staje," jak mówi Goethe. Oto znany przykład: te same instytucye, które poręczają wolność konkurencyi w czasie, gdy przedsiębiorstwa są mniej więcej równe, stają się podporami monopolu i niszczycielkami wolności z chwilą, jak sama gra wolnej konkurencyi czyni przedsiębiorstwa wielce nierównemi. Gdy zaś zważymy, że forma społeczna, w czasie swe-

go przystosowania, sama, jak już wiemy, przyczynia się do postępu podstawy, do tego usuwania się podstawy z pod nadbudowy, to zrozumiemy głęboką i realną słuszność twierdzenia, że każda forma społeczna nosi w sobie samej i przez swe własne normalne działanie w ruch wprowadza fatalną sprężynę przekształcenia się na swe przeciwieństwo. Każda w chwili, gdy odpowiada podstawie i przyczynia się do jej rozwoju, jest dobrą i prawdziwą: bez tego nie byłaby utworzona; lecz każda też, bez wyjątku, staje się złą i fałszywą. Wówczas zaś nie bywa ona natychmiast i w całości porzucana, lecz przystosowuje się do nowej treści za pomocą powolnego, stopniowego podstawiania nowych znaczeń, ustępstw, pozornych nielogiczności, sprzeczności, aż wreszcie „ilość przechodzi w jakość,“ aż w pewnej chwili gwałtownej rewizyi wszystkiego — stopniowo podstawiane nowe znaczenia pojęć sumują się, sprzeczności godzą się w nowym systemie. Lecz nieprzerwany rozwój społeczny na nowo rozpoczyna robotę Penelopy, forma społeczna ulega znów zaprzeczeniu ze strony podstawy, a ponieważ sama była już zaprzeczeniem formy poprzedniej, więc z konieczności nowa odtwarza przedostatnią. Tak np. pewnemu stopniowi rozwoju narzędzi wytwórczych odpowiada posiadanie ich przez samego wytwórcę; wyższy rozwój narzędzi odłącza wytwórcę od narzędzia; jeszcze wyższy — musi wytwórcę i narzędzie znów połączyć, lecz nie w indywidualnej, tylko w zbiorowej formie; i każda z tych trzech form ekonomiczno-prawnych jest bezwarunkowo niezbędna dla wywołania największej produkcyjności pracy przy danym stanie techniki. Przykład ten — a możnaby przytoczyć mnóstwo innych — dostatecznie wykazuje, że „negacya negacyi“ nie odtwarza nigdy identycznie form przeszłości, lecz jest w rzeczywistości zlaniem, „syntezą“ dwóch sprzecznych form, z których każda, wzięta osobno, tem samem zostaje przez nią nieodwołalnie wypartu.

VI.

Wszystko, cośmy powiedzieli, stosuje się wogóle do wszystkich społeczeństw ludzkich. Istnieje jednak pewna, bardzo ważna kategorya społeczeństw, która posiada pewne szczególne **właściwości**; są to *społeczeństwa klasowe*. Klasowemi nazywamy te, w których podział pracy jest tego rodzaju, że jedna część społeczeństwa specyalizuje się w kierownictwie całości produkcyi i na stałe niem owłada, a pozostała nie ma do niego dostępu; kierownictwo produkcyi pociąga za sobą rozporządzanie środkami produkcyi, a dalej — własność tych środków: narzędzi i sił przyrody.

Podział na klasy zjawia się w dziejach z całą wyrazistością w chwili wyjścia ludów z t. zw. pierwotnej wspólnoty rolniczej. W tym ustroju własność środków produkcyi jest wspólną i kierownictwo pracą, przynajmniej w początkach, nie jest wyspecyalizowanem. Lecz wspólnotę rolniczą poprzedzały ustroje społeczne, oparte na takich sposobach wytwarzania, jak zbieranie, rybołówstwo, myśliwstwo (którego odmianą jest wojna), ustroje, w których istniał podział na dwie klasy, zawarunkowany jeszcze w znacznej części czynnikami biologicznymi: mówimy o *klasach* męskiej i kobiecej — oraz zarysowywał się już podział na bogatych i biednych, na panów i niewolników. Dążenie indywidualne do *maximum* użycia, choć silnie przytłumione, nie było jednak nigdy całkowicie wykorzenione z duszy ludzkiej w epoce wspólnoty rolniczej. Dążność ta, rozwijana przez wymianę i wojnę, te dwa pomocnicze środki wytwarzania, zburzyła wspólnotę z chwilą, jak ze środka ratunku dla człowieka słabego, jakim była z początku, stała się ona przeszkodą do powiększania się produkcyjności, które sama umożebniła. W ówczesnym stanie techniki to powiększenie produkcyjności mogło nastąpić jedynie na korzyść niewielkiej części społeczeństwa i za pomocą wyzysku pracy reszty. Wobec tego pojawiają się instytucye przymusu, niezbędne dla zapewnienia trwałości takiej organizacyi. Zczasem ustrój ten komplikuje się: społeczeństwo pozostaje i nadal podzielonem na dwa główne odłamy, posiadaczy i nieposiadających, lecz każdy z tych odłamów z kolei dzieli się na kilka, i społeczeństwo zawiera nie dwie, lecz kilka klas, z których każdą charakteryzuje i określa pewna specyalna, czy to bezpośrednia, czy pośrednia rola w procesie gospodarczym. Gdy samo prawo ustanawia (a raczej zatwierdza) klasy, to nazywamy je stanami lub kastami; lecz jest to tylko poszczególna forma ogólnego zjawiska. Wszystkie społeczeństwa, od zniknienia wspólnoty pierwotnej, były i są społeczeństwami klasowemi.

Fakt podziału na klasy wypływa bezpośrednio ze sposobu wytwarzania, z podziału i kierownictwa pracy, a jest tak zasadniczo ważny, że zajmuje stanowisko podstawy względem całej dalszej nadbudowy społecznej, począwszy od podziału bogactw, od ekonomicznej etyki i prawa. Jest to jak gdyby nowe środowisko sztuczne, które głęboko oddziaływa na sam przebieg produkcyi, a reszta nadbudowy musi przystosować się do produkcyi nie inaczej, jak przez formy tej nowej skorupy. Klasa, będąca główną właścicielką środków produkcyi, kształtuje całe społeczeństwo w taki sposób, aby zapewnić sobie nieprzerwanie trwanie tego stanu rzeczy; w tym celu opanowuje ona przedewszystkiem wszelkimi środkami władzę państwową. Ale rozwój ekonomiczny w kierunku coraz większej produkcyjności wciąż się posuwa i powoli, lecz pewnie, podkopuje istniejące panowanie, zwiększa siły innej klasy, która, będąc powstrzymywaną, uciskaną, staje się antagonistką. Walczy ona o władzę, jako o środek zapewnienia sobie kierownictwa produkcyi i korzystnej części w podziale bogactw. Nacisk jej działa na całej przestrzeni formy społecznej i zmusza klasę panującą do ustępstw, wpędza ją w sprzeczności na wszystkich polach. Wreszcie nowa klasa, niesiona na fali nowego sposobu produkcyi, popierana przez nowy postęp techniki, odnosi ostateczne zwycięztwo, i wówczas ona z kolei kształtuje całą formę społeczną podług potrzeb swego panowania i usiłuje wykorzenić ślady panowania poprzedniego. Poczem — historya rozpoczyna się na nowo.

Podział na klasy wyciska głębokie i charakterystyczne piętno na całem życiu społecznem. Pociąga on za sobą koniecznie walkę klas, walkę mianowicie o władzę. Cała nadbudowa wznosi się na tej wulkanicznej, wciąż wstrząsanej podstawie. Każda klasa wytwarza sobie całe pojmowanie etyki, prawa, nauki, sztuki, filozofii, jednem słowem — społeczeństwa i świata, pojmowanie takie, że wszystkie jego punkty zmierzają (niektóre wprawdzie bardzo zdaleka i jaknajkrętszemi drogami) ku umotywowaniu i utrwaleniu sposobu produkcyi i ustroju państwowego, teraźniejszego, przeszłego lub przyszłego, pożytecznego dla danej klasy. Wszelki fakt społeczny przeniknięty jest jakimś duchem klasowym; całe społeczeństwo, że tak powiemy — *uklasowione*; w każdej danej chwili, w każdym ze swych ruchów i objawów, jest ono jakby wypadkową różnych dążności klasowych, działających na siebie pod różnymi kątami. W samym zaś sposobie przystosowywania się formy do treści w społeczeństwach klasowych jest jeszcze coś szczególnego.

Oto mianowicie, trzeba wogóle odróżniać dwa sposoby przystosowywania się formy do treści społecznej: nieświadom lub przynajmniej, ściślej mówiąc, niezależny, samorodny, oraz świadomy, sztuczny, celowy. Pierwszy — jest to niejako powolny, stopniowy, nieprawidłowy *odlew* wszelkiego rodzaju nakazów i wierzeń wokół ośrodka podstawowych potrzeb i czynności. Po pewnym czasie warstwa takiego odlewu pokrywa zawartość ośrodkową, i jej już formy z kolei działają kształtująco. Tworzy się stąd niejako społeczna apercepcya, świadomość ludzka dąży *a priori* w pewnym kierunku (wpływ pozytywny), a jednocześnie pewnego rodzaju *przesiew* (negatywny) zamyka przed nią, czyni dla niej niewidzialnemi niektóre inne drogi myśli i działania. Ta apercepcya społeczna, ten przesiew myśli i popędów sprawia właśnie, że członkowie pewnego społeczeństwa lub pewnej klasy, choć mają zawsze na widoku swój żywotny interes zbiorowy, uważają się za zupełnie bezinteresownych i faktycznie czują się takimi; pod tą właśnie postacią bezinteresownego ideału najgłębiej zakorzenia się w duszach interes społeczny lub klasowy; tylko zatem rozpaczliwe prostactwo może tłomaczyć wszystkie czyny i myśli członków danego społeczeństwa lub klasy bezpośrednim albo świadomie za cel wziętym interesem. Niemniej jednak przyznać trzeba, że zjawisko takie w społeczeństwach klasowych jest częstszem. Społeczeństwa bezklasowe mają, wogóle biorąc, bardziej samorodny rozwój: forma uwarstwia się w nich na podstawie stopniowo, bez wstrząśnień, krystalizuje się i znów rozkłada, że tak powiemy, po za sferą świadomości i woli społeczeństwa. Tymczasem przy walce klas, z których każda broni swych interesów przeciw pozostałym, z konieczności przeważa świadome, i umyślne, t. zw. „racyonalne“ organizowanie społeczeństwa: każdy ustrój rozwija się tu i rozgospodarowywa niejako strategicznie, fortyfikacyjnie. Apercepcya twardnieje w walce; sito przesiewu się zacieśnia; forma opiera się więc bardziej przekształceniom podstawy, jej opóźnienie, gdy wreszcie zostaje stwierdzone, przybiera rozmiary przepaści, dla której wyrównania potrzeba przewrotu, a ten z kolei gwałtownie ucisku potrzeby i instynkty, przed nim panujące. Dlatego rozwój w sprzecznościach ostrzej się tu zaznacza, niż w społeczeństwach, na klasy nie podzielonych; rozkład i ponowna integracya nakazów i wierzeń społecznych, które tak trafnie dostrzegł, choć dowolnie wytłomaczył Loria, tworzą silnie przeciwstawne fazy kolejne.

Lecz i cały okres społeczeństw klasowych jest jedną wielką antytezą względem wspólnoty pierwotnej. Rozwój techniki do stopnia, umożliwiającego wszystkim korzystanie z najwyższych dóbr materyalnych i duchowych i towarzyszący mu rozwój świadomości jednej z klas zbliża chwilę „syntezy,“ a z nią — zamknięcie się dyalektycznego cyklu dziejów, tych dziejów, ma się rozumieć, które dotychczas poznanie nasze objąć zdołało w przeszłości i przewidzieć na przyszłość.

* * *

Wykład powyższy logicznie należałoby dopełnić jeszcze dwoma rozdziałami: zarysem genezy i rozwoju materyalizmu ekonomicznego na tle nowożytnej psychologii klasowej, oraz rzutem oka na „kryzys“ tej teoryi i prawdopodobny kierunek jej dalszego rozwoju. Uczynimy to przy innej sposobności — i prawdopodobnie z konieczności na innem miejscu.

Dr. K. Kelles-Krauz.

LITERATURA I SZTUKA.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

Ignacy Sewer Maciejowski.

Kto wątpi, że grunt i otoczenie życiowe wpływają na charakter działalności i naturę talentu pisarza, ten niech porówna „Szkice z Anglij“ (1875) Sewera z jakimkolwiek późniejszym jego obrazem powieściowym. Jak gdyby dwa odmienne umysły, dwa całkiem różne pióra. Tam twarda energia myśli, ostrość wyrażenia, dowcip nieobawiający się zadania głębokiej rany, tu — miła, miękka, dobrotliwa gawęda. Czytelnicy i świadkowie wrażenia owej pierwszej pracy Sewera, a nawet następnej — dramat „Pojedynek szlachetnych“ — byli niewątpliwie przekonani, że w tym autorze przybywa piśmiennictwu naszemu siła oryginalna, bojownicza, której wpływy angielskie nadały szczególną dzielność i świeżość. Jego talent wydawał się jakimś szlachetnym mieszańcem pierwiastków rasowych, dopełniających się znakomicie. Tymczasem wkrótce Anglik w Sewerze znikł i pozostał tylko Polak. Jest to faktem, dającym się poprzeć niezliczonymi przykładami, że społeczeństwo nasze posiada nadzwyczajną moc asymilacyjną, że ono stanowi rodzaj pieca o bardzo wysokiej temperaturze, w którym obce żywioły szybko przetapiają się na swojskie. Ilu myśmy przetworzyli Niemców, Francuzów, Węgrów, Włochów itd., w których nie pozostało ani śladu dawnego pochodzenia! Jeżeli zaś tak umiemy przerabiać cudzoziemców, to cóż dopiero mówić o obcych przymieszkach i nalotach rodaków. To też angielski pokost Sewera, chociaż wsiąkł w jego talent dość głęboko, wkrótce się starł i wywietrzał. A wtedy stanął przed nami czysto polski gawędziarz, który z dawnej swojej przemiany zachował tylko skłonność do myślenia w formach artyzmu i upodobania demokratyczne. Jego powieści: „Przybłędy,“ „Franek Walczak,“ „O świętą ziemię,“ „Wiejska zalotnica,“ „Wiosna,“ „Dola,“ „Walka o byt,“ „Zyzman,“ „Dzielna kobieta,“ „Na szerokim świecie,“ „Starzy i młodzi,“ „Biedronie,“ „Nafta“ i inne są wątkami spraw społecznych, zabarwionymi współczuciem dla istnień skromnych, upośledzonych i cierpiących. Ideały Sewera, unoszące się nad światem jego twórczości, nie miały w sobie rysów radykalnych, lecz oświetlał je umiarkowany liberalizm, w którym jaśniał czysty promień miłości dla ludzi wogóle i dla tej ich gromady, która stanowiła społeczną rodzinę autora.

A jakiejże miary był jego talent? Dość znacznej. Do końca zachował on żywość, zwinność, pewną nawet śmiałość w ruchach, jego też utwory nie sklejały powiek czytelnikom. Stęchlizna zalatywała od nich bardzo rzadko, bo przebiegał po nich odświeżający prąd czasu, który może miał swe źródło we wspomnieniach pobytu na szerokim świecie.

Sewer zmarł w Krakowie, otoczony dość szeroką sympatyą. Spisem inwentarza jego dorobku zajmuje się nietylko bibliografia, ale i literatura, która położyła mu na trumnie pogrzebny wieniec ze szczerym żalem.

Gustaw Gebethner.

Nagle, chociaż w wieku, w którym śmierć zbiera najobfitsze swoje plony, zmarł współwłaściciel największej księgarni polskiej, Gustaw Gebethner. Dziś nasz ruch księgarsko-wydawniczy ma wiele ognisk i wiele sił czynnych, ale była długa epoka, w której on toczył się wązkiem łożyskiem i w której przez firmę „Gebethner i Wolff“ przepływały główne jego fale. Ma ona więc w naszym rozwoju wielkie znaczenie historyczne, zwłaszcza że dotąd zachowała naczelne swoje stanowisko. Naturalnie część tego znaczenia i zasługi spada na zmarłego. Ale nie jest to jedyny promień w jego imieniu. Gustaw Gebethner, kupiec i mieszczanin w rdzeniu swojej natury, był jednocześnie człowiekiem czystym od plam zawodu, dobrym, uczynnym, bogatym w tę życzliwość dla ludzi, która każe im oddawać tysiące większych i mniejszych usług — słowem, był duszą społeczną i uczciwą. Trudno wymagać od 70-letniego starca, ażeby w jego myślach i uczuciach pulsowała krew młodego czasu, ale jako syn swojej epoki, więcej powiemy, jako bojownik w walce o byt, oddychający miazmatycznem powietrzem handlu, wyróżniał się moralnem zdrowiem. Do ostatnich chwil życia serce mu biło miłością dla ludzi, z którymi się wiązał, dla całego społeczeństwa, którego dobro było jego pragnieniem i pociechą. Na mogile jego spocznie zacna pamięć.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

— K. Lemounier: *Poczciwi sąsiedzi*. Z francuskiego przełożyła Ostoja. Warszawa, skład główny w księgarni S. Dembego, r. 1901, str. 126.

„Miłość między ludzi należy siać, jak złote zboże, a kąkol nienawiści trzeba wyrywać i deptać nogami. Czcij człowieka — oto nauka.“ Pod pięknem godłem powyższem, wyjętem z „Ludzi bezdomnych“ Żeromskiego, ukazała się ta niewielka i, wobec swej przystępnej ceny, niezwykle artystycznie wydana książeczka, której zadanie polegać ma właśnie na sianiu między ludzi miłości. Autor w sposób prosty, lecz nie pozbawiony wdzięku, to znów pewnej dobrotliwej ironii, maluje nam zacną rodzinę robotniczą państwa Lamy (rzecz odbywa się w Brukseli) oraz zaprzyjaźnionego z nią nauczyciela jakiejś szkoły niższej, p. Millera. Są to ludzie niezamożni, pracujący ciężko na kawałek chleba, nie zataczający myślą zbyt rozległych widnokręgów, ale w swym szczupłym zakresie działania zdolni do prawdziwych ofiar i poświęceń i czerpiący z wrodzonej dobroci serca promienne drogowskazy postępowania w każdym wypadku, zgodnie z wielkiem przykazaniem miłości. Dzieje opieki roztaczanej przez tych zacnych ludzi nad biednym sierotką Jasiem, odchorowującym ciężko śmierć ukochanej matki, mają kilka miejsc wzruszających prawdziwie, a choć ideały „poczciwych sąsiadów“ noszą wogóle charakter drobnomieszczański, choć w książce mówi się za dużo o „kawkach,“ „winkach“ i „smacznych obiadkach,“ może ona, dzięki promieniującym z jej kartek uczuciom dobrym, rozniecić w duszach wrażliwych niejedną iskrę szlachetną. Lepszy jeden dobry czyn, niż tysiąc najpiękniejszych frazesów; lepiej dobrze czynić najbliższym, niż, prawiąc dużo o wzniosłych uczuciach dla całej ludzkości, zrażać swe otoczenie oschłością serca i egoizmem—oto zdaje się myśli przewodnie, które autor chciał wypowiedzieć w swym utworze. Udało mu się w zupełności.

wb.

POEZYE

Astry.

Czy pamiętasz białe astry?
Czy pamiętasz oną jesień,
Gdyśmy w sercach mieli wiosnę,
Choć na niebie był już wrzesień?
Czy pamiętasz na czytaniu
Przepędzane te wieczory?
I w serdecznem zaufaniu
Długie, długie, rozhowory?
Twoja myśl mi rozświetlała
Bezkresowe horyzonty,
Rajem były mi na ziemi
Ciasnej izby szare kąty.
Na stoliku lampka blada,
Astry w szklanym drżą wazonie,
A blask światła dziwnie pada
Na schylone twoje skronie.
W tej srebrzystej aureoli
Idziesz za mną, widmo jasne,
I—gdy życie już przeboli —
Z tem widzeniem słodkiem zasnę...
W sercach wówczas spały burze,
Spała uczuć moc namiętna,
Jak przed każdą z burz w naturze
Bywa cisza wielka, smętna.
Przepływało jak po fali
Tyle myśli, tyle wrażeń...
Myśmy gmachy budowali
Z idealnych naszych marzeń.
Myśl sklepiła się w świątnice,
Rosła w łuki i pilastry,
A jam patrzał w twe źrenice,
A przed nami białe astry....
Czegóż, czego tam nie było
W tej godzinie życia wzniosłej?
Ku nizinom serce biło,
Ku wyżynom skrzydła rosły...
Ufni w uczuć naszych czystość,
Bez goryczy, bez zwątpienia,
Myśmy mieli rzeczywistość
Tak podobną do marzenia!
Myśmy wówczas nie wiedzieli,
Że się w piersiach ludzkich czają,
Jak polipy w mórz topieli,
Czarne moce zdradną zgrają.
Dusze ogniem gorejące,
Niby nowe Zoroastry —
Myśmy czcili Ducha słońce
Zapatrzeni w białe astry...

Przeszło. Zgasły te ogniska,
Jak zalane, stare znicze,
Tylko w dali w mgle mi błyska
Widmo wspomnień tajemnicze.
Życie zasnuł smutny wrzesień,
Zmarszczki—lica alabastry...
Mów! Pamiętasz naszą jesień?
Mów! Pamiętasz białe astry?

Widmo.

Czemu ty idziesz, cieniu blady,
Zawsze i wszędzie w moje ślady
I w każdą chwilę mi istnienia
Mieszasz żałosne twe westchnienia?
Czemu się skarżysz tak boleśnie?
Czy duch twój odszedł nazbyt wcześnie
Do złotych pól i łąk kwieconych,
Jakichś snów jeszcze niedośnionych?
Czy tobie smutno w domowinie,
Że słońce, co tu ogniem płynie,
Pod twoje wieko nie dochodzi?
Czy matka-ziemia zbyt cię chłodzi?
Czy-ć źle pod piaskiem i murawą,
Że tak poglądasz ku mnie łzawo?
A mnie ten wzrok twój serce pali,
A w uchu mojem wciąż się żali
Ta twoja skarga konająca,
Tak cicha a tak przejmująca,
Iż nic zagłuszyć jej nie zdoła...
Świat Boży piękny dookoła:
Słyszę wesołe młodych gwary,
Kwilą słowiki, brzmią uczt czary,

Przyroda kruż upojeń chyli
Do ust człowieka i motyli.
I mnie przez życie losy pędzą
Za jakichś złudnych marzeń przędzą,
Lecz wiecznie za mną się odzywa
Ta twoja skarga żałośliwa.
W rozbłyskach dnia czy w nocy mroku
Czuję cię zawsze przy mym boku,
Widzę na jawie, widzę we śnie:
Ty patrzysz na mnie tak boleśnie,
Aż serce we mnie się rozpłacze,
Aż poczną dumki snuć tułacze
Jak sierot płacz, nieutulone...
I gdzie się zwrócę, w jaką stronę,
Los łódką życia mego miota,
Wieczny ten ból i ta tęsknota,
I nieodstępnie w moje ślady
Idziesz ty smutny cieniu blady...

Adam M—ski.



WYSTAWA W MIŃSKU.

II.

W pawilonie, w którym umieszczono przeważnie owocarstwo, znalazły się w skromnym kąciku próbki warzyw suszonych p. Ramulta, obdarzonego za nie dyplomem na medal srebrny. U góry czytamy napis: „Fabryka warzyw suszonych przy Towarzystwie rolniczem.“ Dyplom na medal srebrny świadczy, że to musi być jakaś praca mierna, nic szczególnego nie przedstawiająca. Niewątpliwie tak każdy osądzi, kto poprzestanie na owych próbkach i na wynikach ekspertyzy. Postarajmy się jednak dotrzeć do źródła. O parę wiorst za miastem, na terytoryum rzeźni miejskich, dzierżawionych przez Towarzystwo rolnicze, mieści się suszarnia warzyw, owoc inicyatywy, zabiegów i pracy p. Ramulta. Suszarnia ta zrazu bardzo skromna, przyjmowana nawet z pewnem niedowierzaniem i lekceważeniem, doszła dziś już, po kilku latach, do takiego rozwoju, że jej produkcya roczna wynosi 30,000 pudów, a zapotrzebowanie, nieustannie wzrastające, znacznie przewyższa tę sumę. Szczególnem powodzeniem cieszy się przeważnie kapusta suszona, przyrządzana głównie dla wojska. Ma ona między innemi tę zaletę, że nie obarcza; np. trzy funty może wystarczyć dla całej roty (z 15 pudów surowej przeciętnie wypada 1 pud suszonej). Dlatego też w rzędzie warzyw suszonych stanowi ona największą ilość. Np. z całej produkcyi, powyżej wymienionej, 20,000 jest kapusty kwaszonej, następnie 3,000 cebuli, 2,000 buraków (kwaszonych); reszta marchew, brukiew, koper, pietruszka itd. Kapusta główny ma zbyt w Syberyi wschodniej: za Bajkałem, nad Amurem, a także w Mandżuryi. Następnie w obwodzie Ferganskim, prowincyi Zakaspijskiej, na Kaukazie. Najmniej spożywa Królestwo Polskie (Konin, Łódź, Gostynin, Biała, Siedlce). Nadto produkt ten idzie do Białegostoku, Nowogrodu i do różnych małych (przeważnie powiatowych) miasteczek gub. Twerskiej i Moskiewskiej.

Bardzo znamienne jest to, że produktów surowych nie dostarczają rolnicy miejscowi. P. Ramult zmuszony więc jest sprowadzać kapustę przeważnie z gub. Czernihowskiej i Połtawskiej, a cebulę z Kurskiej i Penzeńskiej. Mińska dostarcza najmniej: trochę kapusty, marchwi i buraków. Wytwarza ona delikatne gatunki kapusty i cebuli, które nie są odpowiednie na towar rynkowy pod postacią warzyw suszonych.

To tylko dowodzi, jak mało miejscowi właściciele ziemscy rozumieją swój własny interes w tej mierze; 20,000 pudów kapusty suszonej, to trzysta tysięcy pudów rocznie surowej. Przytem wobec olbrzymiego zapotrzebowania tego towaru jest nadzieja, że zczasem produkcya rozwinie się jeszcze bardziej. Czy można jednak przypuszczać, że ziemianie miejscowi ocenią doniosłość korzystnego i bliższego rynku, skoro nawet ci nieliczni, którzy obecnie dostarczają tam swoich towarów przygodnie, w niewielkich ilościach, posługują się jeszcze pośrednikami i to w jaki sposób? Suszarnia proponuje np. za dany produkt 20 kop., właściciel chce 40 i targ nie przychodzi do skutku. Dopiero później zjawia się pośrednik, który ten sam towar nabywa po 17 kop. i sprzedaje suszarni po 20.

A jednak fabrykacya warzyw suszonych ma wielką przyszłość przed sobą i gdyby ziemianie dostatecznie chcieli ocenić tę gałąź przemysłu, mogliby znacznie wzmocnić swoje położenie ekonomiczne. Dziś suszarnie Towarzystwa rolniczego, chcąc zmniejszyć zapotrzebowanie, któremu zadosyćuczynić nie mogą, ciągle podnoszą ceny swych produktów, a jednak zapotrzebowanie pomimo to wzrasta.

Świadczy to wymownie, iż suszenie warzyw i jarzyn na szeroką skalę jest dziedziną dotąd niewyzyskaną należycie, że suszarnie mińskiego Towarzystwa rolniczego mogą zaspokoić zaledwie cząstkę tych potrzeb, jakie zaspokoiłoby osobne Towarzystwo suszarniane.

Dział ogrodnictwa na wystawie mińskiej wykazał ładne, ale stosunkowo nieliczne ogrody owocowe w Mińszczyźnie i guberniach przyległych. Są również niepospolite ozdobne ogrody kwiatowe. Jeden zaś z magnatów, hr. K. Czapski, wprowadził bardzo chwalebny zwyczaj, dotąd mało praktykowany na wystawach: umieścił nazwisko swego ogrodnika, p. Hajnosa. Dotychczas dzieje się zazwyczaj tak, że ludzie zdolni, a nawet utalentowani w pewnym zakresie, pozostają w cieniu. Dane gałęzie i dziedziny pracy, podniesione na wysoki poziom techniczny, piękne modelne plany, badania i dzieła są osłonięte na wystawach firmą właścicieli, którzy otrzymują nagrody i wszelkie oznaki uznania. O istotnych zaś twórcach nikt nie wie.

Wystawa mińska dowiodła, że w Mińszczyźnie i guberniach sąsiednich zaczyna się rozwijać w typowej formie przemysł fabryczny. Są fabryki, które zaczynają wyrabiać maszyny i narzędzia rolnicze, a nawet całe urządzenia gorzelni. Istnieje także fabryczny przemysł tkacki (fabryka Skirmunta na Polesiu). Wyroby kilku krochmalni, olejarni, fabryki szkła w Borysowie (z filiami w Hancewiczach na Polesiu i dwiema w Niemnie) dowodzą, że zakłady te stanęły na wyższym poziomie techniki. Nadto na uwagę zasługują wyroby trzech fabryk garncarskich i kaflowych w Mińsku. Natomiast rzemiosła, z małymi wyjątkami, stoją na dosyć nizkim poziomie (na uwagę między innemi zasługują wyroby mińskiej szkoły rzemieślniczej).

Dość obszerne miejsce zajął tak zwany przemysł domowy, głównie wyroby włościańskie, śród których przeważa i góruje tkactwo. Jakkolwiek dają się spostrzegać pewne postępy techniczne w tych wyrobach, sam sposób ich wykonywania, sama forma ekonomiczna tych dziedzin pracy wytwórczej jeszcze nie wyszła z fazy pierwotnej. Włościanie i mieszczanie małomiasteczkowi wytwarzają różne rzeczy, głównie na użytek własny lub też niezbyt dalekich sąsiadów. Przedmioty produkcyi przemysłu domowego nie przekraczają granic jarmarków w miastach powiatowych. W gubernialnych zaś o tyle można je widzieć, o ile w okolicach poblizkich są uprawiane pewne gałęzie przemysłu domowego. Stosunkowo najszerzej się rozpostarło tkactwo. Na wystawie zdołano zebrać z różnych okolic wszystko, co tylko daje pojęcie o stanie i postępach tej gałęzi produkcyi, a więc naprzód narzędzia tkackie, zaczynając od pierwotnego wrzeciona i kądzieli, nici wszelkiego rodzaju, płótna, obrusy, ręczniki (sporo z Pińszczyzny, tudzież z następujących miejscowości: Wyłazy, Juchnowicze, Cimkowicze, pow. Słucki; Borkowce, powiat Ihumański). Nadto dostarczono sporo owych przedmiotów z gub. Kowieńskiej, następnie Witebskiej i Mohylewskiej. Wyroby wełniane „anderaki“ z Pińszczyzny, czapki i pasy (Lachwa pow. Mozyrski), całe ubiory chłopskie (z gminy Lachowickiej, g. Mińskiej, tudzież z pow. Wołkowyskiego i Prużańskiego gub. Grodzieńskiej), stare kostiumy chłopskie. Tu i owdzie lud wyrabia dywany, nawet dość gustowne, przeważnie w gub. Mińskiej i Kowieńskiej. Sukno włościańskie, „samodział,“ prawie wszędzie jest wyrabiane. Na wystawie wyroby te zebrano przeważnie z gub. Mińskiej i Kowieńskiej oraz z Witebskiej i Mohylewskiej.

Z innych gałęzi przemysłu domowego na uwagę zasługują przedmioty wyrobione z drzewa, a więc słynne kałamaszki (bryczki niekute), sanie polskie, pługi, sochy, łódki, ule pierwotne (w kłodach dłubane), beczki i beczułki dębowe, tudzież wszelkie naczynia. Wyroby skórzane i garbarskie nie odznaczają się niczem szczególnem. Skóry są bardzo licho wyprawiane (pow. Borysowski, gub. Mińska); wyroby plecione wogóle są bardzo rozpowszechnione. Niema chaty włościańskiej, w którejby nie zajmowano się tą robotą, niema członka rodziny, któryby nie posiadał tej sztuki. Wszystkie te przedmioty w przeważnej części służą na użytek wyłącznie domowy, jak np. kosze do sani, tak zwane „koszele“ (koszyki), „łapcie“ — obuwie plecione z kory lipowej, w braku zaś tego materyału, z wierzbowej, która jednak jest bardzo krucha. Najlepsze są i najwyżej pod względem technicznym stoją wyroby plecione z okolic Plemborga, gub. Kowieńskiej. Powroźnictwo również prawie wszędzie jest znane. Do tej grupy zaliczono sieci różnego rodzaju. Tu i owdzie dają się jeszcze spostrzegać wyroby garncarskie.

Cały jednak przemysł domowy na terytoryum Mińszczyzny i gubernij ościennych w stosunku do olbrzymio rozwiniętego t. z. „przemysłu kustarnego“ w wewnętrznych guberniach Cesarstwa jest zaledwie słabą, nikłą latoroślą. Nie posiada on sił zrzeszonych, jak tamten. Niektóre gałęzie przemysłu drobnego w Cesarstwie, stojąc na gruncie kapitalistycznym, walczą o lepsze, częstokroć nawet skutecznie, z wielkim fabrycznym. Gdy tam np. istnieją chłopskie fabryki, wyrabiające narzędzia rolnicze, na terytoryach objętych przez wystawę mińską tu i owdzie są robione pługi w kuźniach pojedynczych, rozproszonych. Przemysł zaś tkacki jest typowo *domowym*, opartym prawie wyłącznie na ręcznej pracy kobiecej.

Na wystawie osobny dział utworzyła praca kobiet inteligentnych. Możnaby ją podzielić na dwie grupy: pracę kobiet zamożnych i bogatych, posiadających dużo czasu, tudzież pracę niezamożnych lub średniozamożnych w zakresie produkcyi praktycznej. Pierwsza nosi charakter rozrywek artystycznych i z tego stanowiska tylko może być traktowaną, jak np. roboty gobelinowe na ekranach, wyszycia złotem na pluszu, atłasie, przedmioty kościelne, poduszki, albumy, malowanie na porcelanie, wypalanie na drzewie.

W dziale drugim — przetwory owocowe, owoce suszone, likiery, nalewki, powidła, wędliny, wina jagodowe itd. Między innemi na uwagę zasługuje szkoła artystyczna i pracownia robót kobiecych p. Barkłowskiej w Mińsku, wyszywania — p. Tekli Holynieckiej, ekran gobelinowy

p. Anny Domańskiej z Klarymontów, dywany p. Kazimiery Römerowej (rysunek właścicielki, robota włościanek miejscowych), wyroby p. Anny Mollówny (tkaniny wełniane i bawełniane, pledy, dywaniki itd.), portyery, sukna, pledy p. Karoliny Badryk itd. W dziale praktycznym p. Emilii Zaleskiej i p. Maryi Kontrym(owej owny?) owoce suszone, p. Izy Lubańskiej konfitury, owoce, kompoty, wędliny, sery i t. d.

W tej grupie odosobnienie pracy *kobiecej* trochę niewłaściwe; należałoby już wyodrębnić ją całkowicie. Nie zrobiono tego jednak, bo jest to rzecz niemożliwa. Jak kiedyś już zaznaczyliśmy przy sposobności, w zbiorowej produkcyi większych warsztatów praca kobiet nie daje się oddzielić, gdyż jest tam praca kobiet, mężczyzn, dzieci i — maszyny. Widzimy to między innemi w mleczarstwie, które w ostatnich czasach stało się cechą specyalizacyi gospodarstwa i zarazem poważną gałęzią wytwórczości.

O postępach technicznych w dziale mleczarstwa świadczą ulepszone narzędzia, służące do produkcyi. Są to wyroby przeważnie obce. Miejscowych bardzo mało. Wogóle przetwory mleczne litewskie, pomimo od dawna wyrobionej sławy, nie stoją na poziomie wymagań dzisiejszych. Masło pozostawia wiele do życzenia, o czem świadczy chociażby ten fakt, że masło litewskie wyższych gatunków uznano na rynkach angielskich za podrzędne, zdatne tylko do kuchni. Natomiast sery istotnie mają swoje zalety, jakkolwiek produkcya ich nie jest prowadzona na wielką skalę.

Cieszą się wielkiem, zasłużonem uznaniem wędliny litewskie i te na wystawie zwracały uwagę, chociaż wystawiono ich stosunkowo mało.

Zbliżając się do końca ogólnego przeglądu, zaznaczyć musimy, że w dziale techniki na szczególną uwagę zasługują śluzy automatyczne pp. Skotnickiego i hr. Ostrowskiego: „Tekor“ i „Elkor“ i roboty biura górniczo-technicznego inż. Murawskiego z Wilna. Mapa wykazuje, jak dalece w ostatnich czasach rozszerzyły się roboty świdrowe i studnie artezyjskie. W całym obrębie państwa rosyjskiego pracuje kilka takich biur, z których do najczynniejszych bodaj należą: inż. Woysława i drugie — inż. Murawskiego. Obok zwykłych przedmiotów, zawsze wystawianych, jak narzędzia wiertnicze, przekroje geologiczne, mapy, znaleźliśmy rzecz dość oryginalną: w przekrojach dla oznaczenia warstw użyto zamiast farb, gatunków ziemi w takim porządku, w jakim je wydobywano. Jest to poglądowy obraz rzeczywistych warstw geologicznych.

W pobieżnem sprawozdaniu z konieczności musieliśmy pominąć wiele szczegółów. Ogarniając wszakże całokształt, zaznaczyć musimy, że jubileuszowa wystawa mińska, jakkolwiek nie odznaczała się elegancyą zewnętrzną, nie miała gustownych i ozdobnych pawilonów, zawierała jednak treść zasobną i bardzo pożyteczną. Rozumie się, były niedokładności i dość znaczne luki, ale to zdaje się są wady wszystkich wystaw w mniejszym lub większym stopniu. Dała ona wprawdzie tylko poszarpany obraz warunków ekonomicznych na znacznym obszarze kraju, ale była zarazem pewnego rodzaju przeglądem sił materyalnych i duchowych społeczeństwa i niewątpliwie dla wielu będzie bodźcem do pracy owocnej; a to już zasługa wystawy bardzo wielka.

Zen. Piet.

DONIESIENIA URZĘDOWE.

POWRÓT Z FRANCYI NAJJAŚNIEJSZYCH PAŃSTWA.

Wczoraj (23 b. m.), o godz. 12 m. 54 z południa, Ich Cesarskie Mości Najjaśniejszy Pan i Najjaśniejsza Pani Aleksandra Teodorówna z Najdostojniejszemi Dziećmi raczyli przybyć z za granicy na stacyę Aleksandrów. Ich Cesarskie Mości powitał jenerał-gubernator warszawski i dowódca wojska okręgu, jenerał - adjutant, jenerał jazdy Czertkow, który miał szczęście przedstawić się Jego Cesarskiej Mości w wagonie. Pociąg z Najwyższemi Osobami, po dwunastominutowym postoju, przez stacyę Skierniewice, udał się do stacyi Jeleń. Najjaśniejszy Pan raczył zaprosić na śniadanie jenerała-adjutanta Czertkowa, którego zaszczycono pozwoleniem towarzyszenia Ich Cesarkim Mościom do stacyi Skierniewice.

W dniu 10 (23) września Jego Cesarska Mość cesarz niemiecki, Wilhelm II, raczył odwiedzić osadę Wisztyniec, w pow. wyłkowskim, gub. suwalskiej, gdzie zebranym na rynku pogorzelcom oznajmił, że Jego Cesarska Mość Cesarz Mikołaj II, podczas widzenia się z nim w Gdańsku, przekazał mu 5,000 rb., a następnie cesarz Wilhelm raczył powiedzieć, co następuje:

„Jego Cesarska Mość Cesarz Mikołaj, wasz Najmiłościwszy Monarcha, a mój Drogi Przyjaciel, z Którym niedawno się widziałem, wyraża wam przez moje usta Swe serdeczne powitanie i pełne współczucie w nieszczęściu, jakie was dotknęło przez pożar. Składam wam w imieniu Jego Cesarskiej Mości dar w sumie 5,000 rb. i te oddaję nadleśnemu von Saint-Paul'owi, który wspólnie z naczelnikiem powiatu Linkiem, rozdzieli je między nawiedzonych pogorzelą. Widocznem jest z tego, że serce waszego Najmiłościwszego Monarchy pełne jest ojcowskiej opieki nad wami i dla tego dar ten przyjmijcie jako dowód Jego miłości ojcowskiej, którą otacza swoich poddanych i na najodleglejszych kresach państwa. Monarcha spodziewa się, że wy, ze swej strony, okażecie się godnymi Jego miłości. Wzywam was do wygłoszenia ze mną za pomyślność waszego Najmiłościwszego Monarchy Mikołaja II „hura.“

Ludność wygłosiła „hura“ za pomyślność Najjaśniejszego Pana: a potem za cesarza Wilhelma. Następnie cesarz raczył oglądać wszystkie miejsca pogorzeli i z Wisztyńca Jego Cesarska Mość, przy towarzyszeniu tłumu ludności, przy okrzykach „hura,„ odjechał z powrotem konno do Prus.

(*Warsz. dniew.*)

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Dzienniki petersburskie donoszą, iż w ministeryum spraw wewnętrznych opracowywany jest projekt zaprowadzenia w Królestwie Polskiem ziemstw przekształconych.

Szkoły. Wydział artystyczny wyższych kursów dla kobiet im. Baranieckiego w Krakowie będzie otwarty d. 1 października.

— Ministeryum oświaty zezwoliło, aby we wszystkich szkołach miejskich, oprócz jedno i dwuklasowych, dopuszczane były jednocześnie z uczniami osoby prywatne do egzaminu z kursu którejkolwiek klasy szkół wymienionych. Osoby takie powinny opłacać po 3 ruble na korzyść egzaminujących.

Odczyty. Zatwierdzono przepisy i program odczytów ludowych z zakresu medycyny, hygieny, weterynaryi i hodowli bydła. Odczyty mogą być urządzane w miastach, osadach i wsiach.

Prasa. P. Antoni Orłowski otrzymał pozwolenie na wydawanie pisma tygodniowego ilustrowanego p. t. *Naokoło świata*, poświęconego opisom ziem, ludów, podróży, zjawisk przyrody i wynalazków. Redaktorem będzie p. Wacław Jezierski, przyrodnik.

— *Gazeta Krawiecka* przestała wychodzić z braku poparcia.

Nagrody. Komitet zarządzający Kasą imienia dr. J. Mianowskiego, zawiadamia, że d. 17 września r. b., z zapisu Jakóba Natansona przyznał dwie nagrody za najlepsze prace naukowe: pierwszą p. Stanisławowi Thugutiowi za dzieło p. t. „O zeagonicie, nowym produkcie wietrzenia nefelinu,“ drugą p. Szymonowi Askenazemu za „Przymierze polsko-pruskie.“

— Nagrody im. Nobla, po 100,000 rb., przyznano duńskiemu profesorowi Niel R. Finsenowi, twórcy instytutu dla leczenia chorób skórnych za pomocą światła i rosyjskiemu fizyologowi Pawłowowi.

Konkurs. Redakcya *Ilustracyi polskiej* w Krakowie ogłasza konkurs na nowelę, liczącą 1,000 do 1,500 wierszy druku. Termin nadsyłania prac 5 grudnia r. b. Nagrody. pierwsza 200 koron, druga 80 koron, będą przyznane autorom prac względnie najlepszych. Rękopisy winny być czytelne, nadesłane bezimiennie, zaopatrzone w godło, oraz w kopertę zamkniętą oznaczoną temże godłem, a zawierającą nazwisko autora. Sąd konkursowy składają: Antoni Potocki, Zygmunt Sarnecki, Rudolf Starzewski, K. Tetmajer, St. Wyspiański i L. Szczepański. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi z końcem grudnia r. b. W sprawozdaniu sądu konkursowego będzie ocena wszystkich prac nadesłanych. Jednocześnie redakcya *Ilustracyi*, pragnąc rozszerzyć i obudzić zamiłowanie do sztuki fotograficznej, ogłasza konkurs na fotografię amatorską. Termin ostateczny nadsyłania prac d. 31 października. Sąd konkursowy tworzą artyści - malarze: prof. Stanisławski i prof. Axentowicz, oraz amatorzy prof. Zawiliński i prof. Bylicki. Nagroda pierwsza — 30 koron, dwie następne — dzieła wartościowe. Lepsze fotografie będą reprodukowane.

Zjazdy. Ministeryum oświaty ma urządzić w roku przyszłym w Petersburgu zjazd nauczycieli fizyki w celu opracowania nowego programu wykładów tej nauki w szkołach.

Areszty. Władza wyjaśniła, iż pieniądze, przesyłane pocztą, nie mogą być aresztowane za zaległe podatki.

Stypendya. W roku bieżącym z zapisu Anieli Zawadzkiej, wakują dwa stypendya uniwersytetu warszawskiego dla studentów pochodzenia polskiego, wyznania rzymsko-katolickiego. Bliższe szczegóły w kancelaryi Towarzystwa kredytowego ziemskiego.

Z sądu. Pisma petersburskie donoszą, że komisya która opracowała projekt reorganizacyi sądowej, proponuje rozszerzenie udziału nadzoru prokuratorskiego w przedmiocie ścigania przestępstw służbowych. Oddawanie pod sąd osób urzędujących, jak dotychczas będzie przysługiwało w pierwszym rzędzie władzom zwierzchniczym danego urzędnika, nadzór wszakże prokuratorski ma otrzymać na przyszłość prawo veto i prawo żądania przedstawienia mu protokułów śledztwa danego przestępstwa służbowego, bez względu na jego wynik. W sprawach o przywłaszczenie, fałszerstwo, znęcanie się, łapownictwo i wymuszanie datków, nadzór prokuratorski ma mieć prawo wytaczania śledztw karnych na własną rękę, chociażby się temu miały sprzeciwiać władze zwierzchnicze urzędnika.

Rolnictwo. Ministeryum rolnictwa i dóbr państwa w porozumieniu z ministeryum spraw wewnętrznych, rozesłało okólnik do wszystkich gubernatorów w państwie w przedmiocie wypowiedzenia zdania, czy byłoby pożądanem utworzenie przy wszystkich zarządach gubernialnych oraz powiatowych biur porad gospodarczych, w celu bardziej racyonalnego rozwoju rolnictwa. W odpowiedziach swych gubernatorowie mają zaznaczyć, czy na miejscu znajduje się odpowiednia liczba osób wykształconych teoretycznie i fachowo, któreby mogły objąć kierunek takich instytucyj oraz zająć w nich posady. Ministeryum proponuje, aby wszelkie porady i wskazówki, udzielane były przez te

biura bezpłatnie, ograniczały się nietylko do porad w sprawach czysto rolniczych, ale także udzielały wskazówek, gdzie najlepiej spieniężać produkty, nabywać inwentarz rozpłodowy, maszyny rolnicze itp.

Sprawy etyczne. W niektórych fabrykach warszawskich, zastosowano podział płci przy wykonywaniu zajęć, przeznaczając dla każdej oddzielne sale. W jednym zakładzie, gdzie tej zmiany nie można było wprowadzić, przyjęto do nadzoru siostrę miłosierdzia. Po skończonej pracy kobiety wychodzą o kilka minut wcześniej, niż mężczyźni.

— W Turynie wychodzący *Biuletyn Ligi moralności publicznej*, wystosował do wszystkich lekarzy w tem mieście szereg zapytań co do dwóch kwestyj: prostytucyi i alkoholizmu. Znaczna większość zapytanych nie odpowiedziała wcale.

Leśnictwo. Po wprowadzeniu prawa o ochronie leśnej okazał się brak wykwalifikowanych leśniczych do sporządzania planów gospodarstw leśnych; czynności te wypełniali w majątkach prywatnych leśnicy zarządu dóbr państwa za oddzielnem wynagrodzeniem. Ponieważ jednak i oni nie mogli podołać zapotrzebowaniu, przeto podniesiono projekt powiększenia ich liczby.

Wystawy. W lutym i marcu roku przyszłego urządzona będzie w Petersburgu powszechna wystawa rybacka.

Koleje i komunikacye. Zarząd kolei Nadwiślańskich podniósł projekt zaprowadzenia miejsc numerowanych w wagonach III klasy, tak w komunikacyi miejscowej, jak i bezpośredniej.

— Na kolejach tutejszych opracowywany jest projekt podwyższenia płac służby konduktorskiej, aby ściągnąć na te posady osoby więcej rozwinięte moralnie i umysłowo, co tylko jedynie, zdaniem zarządów kolejowych, może jeśli nie zupełnie, to przynajmniej w znacznym stopniu ukrócić nadużycia w przewożeniu podróżnych bez biletów. Istnieje również projekt zniesienia posad nadkonduktorów i zastąpienia ich przez naczelników pociągów, których stanowisko będzie odpowiadało zawiadowcom stacyj 3-ej klasy.

— W Petersburgu rozpoczną się posiedzenia komisyi kolejowej, w celu opracowania wskazówek najkrótszej podróży. Jest projekt, aby na każdej stacyi kolejowej był umieszczony przewodnik objaśniający, jaką drogą i jakimi pociągami można odbyć w najkrótszym czasie podróż do danej stacyi kolejowej w państwie.

Przemysł i handel. W Petersburgu otwarta będzie wkrótce agentura przemysłowo-handlowa, mająca pośredniczyć między Rosyą europejską a Azyą wschodnią. W agenturze tej utworzony będzie oddział dla interesów przemysłowo handlowych Królestwa Polskiego.

— Powstało we Lwowie „Pierwsze galicyjskie stowarzyszenie przewozowe," mające na celu ułatwianie wywozu masła, jaj i drobiu z Galicyi.

Zmarli. Tymoteusz Stępniewski, doktór medycyny, twórca pierwszego w Warszawie instytutu szczepienia ospy. Po za specyalnym swoim zawodem studyował filozofię i biologię; wydał kilka prac, między innemi „Goethe jako Darwinista," „Kobieta, jej udział w rzeczach miłosierdzia, lecznictwa i pracy niezależnej" i inne.

— Jan Nepomucen Durecki, w Warszawie, b. pedagog i właściciel zakładu naukowego.

Odpowiedzi Redakcyi.

Nieliteratowi. Zagadka rozwiązuje się prosto: utwór S. jest dziełem większego talentu, niż powieść K.; 2) pojawił się w porze, w której takie utwory odpowiadają potrzebom umysłowym mas czytających.

— Do dzisiejszego numeru dołączamy w dodatku kwartalnym **Rozwój ekonomii w XIX wieku, S. Grabskiego.** Dodatek ten zawiera cztery arkusze. Za to następny obejmować będzie ośm.

Redaktor i wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава, 14 Сентября 1901 года. Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.